Nr. 8. Kraków, Sierpień 1916. Rok X.

POLSKI SIEW



REDAKCYA
i ADMINISTRACYA:
Kraków,
ul. Franciszkańska L. 3.

Cena egzemplarza wynosi 10 halerzy.

TREŚĆ NUMERU VIII-go:

Wniebowzięcie N. Maryi P. i wojna.

Kiedy Apostołowie otworzyli grób Najśw. Maryi Panny, trzeciego dnia po Jej zejściu ze świata, znaleźli w nim kwiaty i białą chustę. Ciała nie było. Aniołowie unieśli je do nieba.

To zdarzenie, uważane w Kościele zawsze za najoczywitszą prawdę, jest dla życia naszego na ziemi rzeczą wielkiej doniosłości. Wniebowzięcie Najśw. Maryi Panny napawa serce człowiecze wśród cierpień i niedoli otuchą i dodaje mu sił do zniesienia największych nieszczęść i przeciwności. Jest ono bowiem rękojmią człowieczego zmartwychwstania i wiecznej szczęśliwości.

Pan Bóg obdarzył człowieka przywilejem nieśmiertelności. Wedle wyroków Bożych nikt z ludzi nie miał umierać, ale po pewnym okresie życia na ziemi wszyscy ludzie pójść mieli z duszą i ciałem do nieba. Przez grzech atoli utracili ludzie ten przywilej nieśmiertelności i wszyscy muszą umierać, a ciała ich po rozłączeniu ich z duszą rozsypują się w proch ziemny. Groza śmierci i to zniszczenie ciała jest karą za grzech. Przez tę karę każdy przejść musi, bo zmaza grzechu każdego prawem dziedzictwa dotknęła.

W sercu ludzkiem tkwi atoli ciągle owo poczucie nieśmiertelności, zaszczepione mu jeszcze w dniu stworzenia. Na tej też nieśmiertelności duszy i ciała opiera się pełnia szczęścia człowieka. Dlatego też wśród największych nawet dostatków na ziemi człowiek nigdy nie jest zupełnie szczęśliwy. Największą rozkosz mąci mu widmo śmierci. On zaś pragnie życia, życia wiecznego. I takie życie obiecał nam Bóg. W dniu ostatecznym zmartwychwstaną wszyscy, którzy byli umarli, dusze połączą się znowu z ciałami i pocznie się to upragnione życie wieczne, którego już żadna śmierć nie zniszczy.

Ta podstawowa prawda wiary chrześcijańskiej w „żywot wieczny“ daje człowiekowi wśród uciążliwości życia na ziemi wielkie oparcie i nadzieję. Nadzieja zmartwychwstania i wiecznego potem życia dodaje człowie-

kowi wśród najprzykrzejszych uciążliwości otuchy i uzdalnia go do robienia największych ofiar i poświęceń, nawet poświęcenia życia.

Dowodem tego dzisiejsza wojna.

Tyle kroć tysięcy ludzi poszło na wojnę! I znoszą tam niezmierne trudy, cierpią głód i chłód, popadają w okropne kalectwa, a tylu i tylu straszna śmierć zabiera! A oni trwają. Trwają w tych okropnościach i nawet śmierci się nie lękają. Czemu? Bo wiedzą, iż tem trwaniem łepszą dolę dla siebie i swoich wywalczą.

W zeszłym roku pewien żołnierz, Polak, Bernard N., z armii niemieckiej, odznaczony przez cesarza Wilhelma krzyżem zasługi za bohaterstwo, tak pisał: „Jak wielką jest pociechą wtedy, gdy się dogorywa z ran na polu bitwy, myśl, że czeka nas po śmierci lepsza dola“. Oto prawdziwy bohater. Przebył wszystkie uciążliwości wojny, przelał krew i i tym czynem spełnił najlepszą powinność. Ta jego krew będzie posiewem lepszej doli dla braci. A jemu co? — Jemu śmierć. Gdy „dogorzeje“ zakopią jego ciało w grobie; tam stoczy je robactwo i w proch się rozpadnie, a wiatry prochy po świecie rozwieją. Tyle jego?!

Nie! Temu ciału należy się przecież jakaś nagroda. Za te wysiłki, trudy i znoje i bóle dla świętej sprawy podjęte nie może ono stać się tylko karmą plugawemu robactwu i prochem ziemi. Toby było niesprawiedliwem! A Bóg jest przecież samą Sprawiedliwością. To też w imię tej Sprawiedliwości to ciało zmartwychwstanie i trwać potem będzie wiecznie. Dla Sprawiedliwości Bożej ono umrzeć musi, ale też dla tej sprawiedliwości musi też i zmartwychwstać!

Tą wiarą przejęty żołnierz znosi ze spokojem straszne trudy i cierpienia wojny, a gdy „dogorywa“, ta wiara w zmartwychwstanie jest mu „wielką pociechą“.

Uroczystość Wniebowzięcia N. Maryi Panny napełnia otuchą znękane serca, bo roznieca w nich wiarę w zmartwychwstanie ciał dla Sprawiedliwości Bożej. Najśw. Marya Panna była Niepokalanie poczętą. Zmora grzechu pierworodnego nie dotknęła bowiem Jej przeczystej duszy. Obrana na Matkę Boga Odkupiciela w chwili wydania owego strasznego wyroku o śmierci, wyjętą była dla Swej Niepokalaności z pod tej strasznej klątwy. To też Sprawiedliwość Boża sprawiła, iż Jej ciało najświętsze zostało do nieba wzięte.

Aczkolwiek Niepokalana i wolna od cienia grzechu przechodzi jednak Najśw. Marya Panna do wiecznej chwały przez bramę śmierci. Sprawia to Bóg dlatego, żeby była we wszystkiem podobna do Syna, który równie umarł, a nadto, by jako Matka wszystkich ludzi nauczyła dzieci swoje umierać i tem więcej litowała się nad niemi, ilekroć ta ciężka chwila na nie przypada. Atoli śmierć Maryi nie miała w sobie ni grozy, ni boleści, ni trwogi żadnej, a nastąpiła z miłości ku Bogu tak gorącej, że serce bić przestało. Trzeciego dnia została Marya wniebowzięta. Poszła po nagrodę za trudy i pracę, łzy i boleści, których tyle dla Jezusa poniosła. Spełniła się Sprawiedliwość Boża na Osobie Najśw. Panny, spełni się też nad każdem z Jej przybranych dzieci.

Polska wojenność narzędziem Opatrzności.

Słusznie ktoś nazwał historyę „opowieścią zbrodni i kary“. Dzieje ludzkości bowiem, to dzieje ciągłych niemal wojen. W dziejach każdej zaś wojny, widny jest palec Boży. Wojną chłoszcze Bóg występki, wojną nagradza też zasługi narodów. Tak chce sprawiedliwość Boska.

W starożytności upadła pośród strasznych wojen Judea, gdy się sprzeniewierzyła swemu posłannictwu i zagarnęli ją Rzymianie, przedstawiciele poszanowania prawa, ofiarnej miłości ojczyzny i surowości obyczajów. Ale i ci światowładni Rzymianie upadli, gdy się rozprzęgła u nich obyczajność, a szał używania, osłabił rycerską tężyznę, gdy pychą przejęci, poczęli uciskać i głodzić podbite ludy; popadli w odmęt krwawych wojen i stali się służebnikami Germanów, którymi tak gardzili.

Wieki średnie okrwawione ciągłemi wojnami różnych ludów, są najjaśniejszym przykładem rządów Opatrzności w dziejach narodów.

To samo widzimy na naszym, polskim narodzie. Skoro naród polski sprzeniewierzył się swemu apostolskiemi posłannictwu, popadł w niewolę. Miłym jednak musiał być Bogu ten naród, kiedy go Bóg, mimo przeniewierstwa, nie podał w zagładę. I owszem. Aczkolwiek upadły, służył ten naród dalej za narzędzie w ręku Opatrzności w Jej rządach pośród narodów na ziemi. Świadectwem tego to te bielejące kości polskiego żołnierza, rozrzucone po całym świecie. Znajdziesz je we Francyi, Hiszpanii, we Włoszech i pod piramidami na pustynnych piaskach Afryki, a nawet na odludnych wyspach Ameryki.

Po przeniewierstwie i upadku odrabialiśmy pańszczyznę..

A w tej pańszczyźnianej służbie „po wszech ziemiach, po wszech wodach, siali przyszłej Polski siew“ nasi żołnierze. W tym cudzym odrobku bowiem, jedno nam tylko zostało: nadzieja odrodzenia. Tem hasłem wiedziony szedł polski żołnierz wszędzie, nie skąpiąc ni krwi, ni życia, bo widział w tem wolę Opatrzności.

Kiedy przed stu laty rozgrywała się na błoniach Lipska walka narodów, Napoleon ściśnięty zewsząd, widząc jedyny ratunek własnego ocalenia w polskiej jeździe, zwróciwszy się do księcia Józefa Poniatowskiego, powiedział: „Naprzód, królu polski“. Książę wbódł w konia ostrogi i osłonił odwrót cesarza, ale sam zginął.

To zwodnicze: „naprzód, królu polski“ powtarzało się ciągle. Różni obiecywali nam „Królestwo polskie“, a polski żołnierz szedł za temi obłudnemi obietnicami wszędzie. Szedł jednak zawsze i wszędzie tam, gdzie o wolność i sprawiedliwość chodziło. Czuł bowiem ten żołnierz w tem rękę Bożą, która go wiodła, jako swoje narzędzie w działaniu sprawiedliwości pośród narodów na ziemi. Nie zrażał się ludzką obłudą, ale służył wszędzie ofiarnie, wiedząc, że służy Bogu i świętej sprawie.

To stało się dzisiaj. „Naprzód, królu polski“ rozległo się po świecie, gdy wybuchła wojna. I na to hasło posypały się dziesiątki tysięcy na krwawy bój. I walczą. Nieraz brat przeciw bratu stawa i bratnią krew rozlewa, ale każdy walczy w „imię sprawiedliwości“, uważając się za narzędzie Boga w Jego opatrznych rządach na ziemi.

I tak pełni dalej Polska swą służbę Bożą, jako strażniczka Chrystusowej wiary i cywilizacyi na wschodniej rubieży Europy.

Rycerski proporzec, który się wymknął z ospałej ręki ojców w XVIII. w. podjęli byli bohaterscy konfederaci barscy, potem kościuszkowscy kosynierzy, podając go dalej legionom Dąbrowskiego, a ci warszawskim podchorążym, od których przejęli go powstańcy styczniowi, oddając go znowu naszym legionom. To, że ten sztandar polskiej wojenności tak kolejno przechodzi do żywych

zawsze rąk, to znak, że w służbie Opatrzności nie ustawamy. Raz się zachwiał i upadł i wtedy przyszła niewola. Ale co prędzej podjęty powiewa odtąd wszędzie górnie, wiodąc dzielne zastępy do boju zawsze w imię sprawiedliwości. I pewnie Bóg te służby przyjmie, a wiernym sługom sprawiedliwość wymierzy.

Dzieła chrześcijańskiego miłosierdzia w czasie wojny!

Jeńcy wojenni.

W wojnie, która jest zmaganiem się dwu sił o panowanie, nie zawsze śmierć lub kalectwo przeciwnika wyrokuje o zwycięstwie: zwycięzcą zostaje także ten, kto przeciwnika, acz zdrowego, ubezwładni. Wtedy zwyciężeni stają się jeńcami wojennymi.

Smutny był los jeńców wojennych w starożytności. Niektórzy zostawali na zawsze niewolnikami zwycięzcy. Ci byli najszczęśliwsi. Innych bowiem spotykał straszny los. Jeńców składano na cierniach i żywcem ich przepiłowywano; układano ich jak snopy pokotem na ziemi i jeżdżono po nich młockanymi wozami. Obdzierano żywcem ze skóry i t. p. — trupy zaś pozostawiano na żer drapieżnym ptakom i dzikim zwierzętom. (Biblia, I. Król. 17, 44).

Nie trzeba zresztą dla tych okropności tak odległych czasów. Polska, podobnie jak dziś, była zawsze polem, na którem rozstrzygały się losy całej Europy. Przez pięćset lat z górą zmagał się na naszych niwach krzyż z półksiężycem. Z roku na rok pustoszyły polskie dziedziny napady dziczy tatarskiej. A wszędy, gdzie jeno przeszli Tatarzy zostawały zgliszcza i pustka, a jak mówiono, trawa tam nawet nie rosła. Najstraszniejszą jednak rzeczą w owych napadach był „jassyr". Dziesiątki tysięcy ludzi porywali Tatarzy rok rocznie, wiązali je w łyka i pędzili na Wschód. Najchętniej brano w „jassyr" młode dziewczęta na hańbę i poniewierkę i chłopców na niewolników i żołnierzy t. zw. „jańczarów". W r. 1289. porwali Tatarzy z Polski dwadzieścia tysięcy samych dziewcząt, innym razem dwadzieścia dwa tysiące młodzieży i tak niemal corocznie. Rynki całego Wschodu zaroiły się od polskiego niewolnika. A straszny był los tych ludzi. Kupowani i sprzedawani byli, jak bydlęta, zawsze w łańcuchach trzymani na uwięzi, na pół nadzy, żywieni odrobiną jakiegoś ochłapu, sieczeni batem dozorcy, pędzili beznadziejne dni, w śmierci tylko wyzwolenia oczekując.

Podobnie działo się i gdzieindziej, choć u nas w Polsce, jak zwyczajnie, zawsze najgorzej.

Kościół św., ta tkliwa matka, nie może znieść łez swych dzieci. I oto znów bieży tym nieszczęśliwym z ratunkiem.

Kiedy Arabowie, zdobywszy Hiszpanię, tysiące jeńców uprowadzili i sprzedali ich w Tunisie, Algierze i Marokku w Afryce, św. Jan z Maty i św. Feliks Walezy założyli zakon zwany Trynitarskim, dla wykupywania jeńców. Trynitarze, czyli zakonnicy Trójcy św., zbierali jałmużny po wszystkich krajach chrześcijańskich na okup braci z rąk niewiernych i ślubowali nawet, że pozostaną w zakład w niewoli u pogan, byle kogoś za siebie wyswobodzić.

Znaną była i u nas ich działalność. W r. 1688. wyprawili się Trynitarze z 4 tysiącami złotych polskich do Kamieńca podolskiego po wykup jeńców. Wykupili



wtedy ośmioro ludzi. Innym razem wiedli po kilkadziesiąt i po kilkaset osób z niewoli. W całem swem działaniu wykupili Trynitarze 30.732 osób.

Drobnostka to wprawdzie na owe nieprzeliczone rzesze tych, co w jassyr popadli. Ta drobnostka jednak stała się podwaliną do utworzenia międzynarodowego prawa dla jeńców wojennych. Ten czynnik, jak ów kwas ewangeliczny przejął dusze wszystkich narodów, iż jeniec wojenny, aczkolwiek zwyciężony, jest przecież człowiekiem i jako człowiek uważać go trzeba. Jeżeli działał wrogo wobec zwycięzcy, to pełnił tem tylko swoją powinność. W tem też tylko działaniu trzeba go ograniczyć. Innych praw, jako człowiek nie może tracić. Tak pojmuje dzisiaj świat sprawę jeńców wojennych, dzięki temu czynnikowi, jaki wniosło w tę dziedzinę chrześcijaństwo.

Według obowiązującej dziś międzynarodowej „Umowy genewskiej", jeńcy wojenni, poza pewnem ograniczeniem wolności, są wolni od wszelakiego gwałtu i otrzymują w niewoli wszystko, co do potrzeb życia należy, a po skończonej wojnie, na odpowiedzialność właściwego rządu wrócić mają w rodzinne kraje.

Ot, znowu piękny dorobek ludzkości, dokonany na chrześcijańskim posiewie.

Tym też chrześcijańskim czynnikiem tłumaczyć sobie należy tę dziwną zagadkę, czemu to ludzkość tak

sprzecznie w życiu postępuje. Z jednej strony wywołuje wojnę, a w niej sili na najokrutniejsze środki mordu i kaleczenia — z drugiej znów strony stwarza tak pożyteczne ustroje, które owe niedole mają łagodzić. Otóż ta druga strona, to wytwór chrześcijańskiego ducha, tego ducha wiecznego pokoju, który nigdy nie chce wojny, jeno miłości i zbożnego żywota.

Cześć Najświętszej Panny w Polsce.

Do Kijowa wdarła się dzicz tatarska. Św. Jacek usłyszawszy, że nieprzyjaciel jest w mieście, chciał ocalić przynajmniej Najśw. Sakrament. Bierze go tedy z ołtarza i ucieka. Wtem słyszy, wedle podania, głos od statuy Najświętszej Panny: „A mnie synu tu zostawiasz? weź mnie z sobą! Syn mój ulży ci ciężaru“...

W każdym razie pewne, że Marya tak mówiła codzień to duszy narodu, odkąd tylko chrzest przyjął: weź mię z sobą na drogę twego życia dziejowego! „Weź mię z sobą, a Syn mój ulży ci ciężaru!“

I wziął naród Maryę z sobą, jako swoją Opiekunkę i Panią i śpiewał Jej pieśń chwalebną „Bogarodzica“, którą słusznie nazwano katechizmem polskim, hymnem ojczystym, pierwszem pisanem prawem Polski; śpiewał ją w pokoju i w wojnie, śpiewał przez usta pielgrzymów Hozyuszowi w Rzymie. Obok zaś tego hymnu wyśpiewała dusza polska za przykładem św. Kingi i błogosławionego Jakóba Strepy w ojczystym języku tyle pieśni ku czci Niepokalanej, na ile się żaden inny lud katolicki nie zdobył. Niema też prawie u nas poety od dawnych do najnowszych czasów, którvby w myśli ojczystej nie był utkał korony na skronie Maryi, a przynajmniej wieńca kwiatów polnych nie był złożył z natchnień wieszczych u stóp Panienki Najświętszej. Zjawisko chyba jedyne na świecie.

Spowiedź w loży masońskiej.

Wieczorem dnia 22 grudnia 1867 — opowiada sławny misyonarz afrykański E... T. J. — bawiłem właśnie w Paryżu, aby u znajomych i zacnych dobrodziejów na zakłady sierót i szkoły w Weronie, Kairze i Chartumie dla biednych murzynów składki urządzić i nadwątlone me zdrowie w łagodnym klimacie Francyi naprawić.

Wszak z 37 misyonarzy, którzy ze mną z Włoch, Austryi i innych krajów Europy do różnych stacyj misyjnych w Afryce się udali, już 35 padło ofiarą żółtej febry i innych zabójczych chorób. To też i mnie tylko dłuższy pobyt zdala od puszczy Sahary i moczarów Nubii mógł od pewnej śmierci ocalić.

W owym dniu składka na moje murzyńskie dzieci udała się wybornie, datki płynęły obficie. Pełen wdzięczności ku Bogu i dobrodziejom powróciłem znużony do domu. Gdym o godzinie 10-tej mówił brewiarz, ktoś zapukał do mego mieszkania. Zdziwiony, że tak późno jeszcze ktoś do mnie przychodzi, wziąłem świecę, postąpiłem ku drzwiom i zapytałem wchodzącego, czego sobie życzy. Ten gość, przyzwoicie ubrany mężczyzna, z gładkiem obejściem, skłonił się grzecznie i odrzekł:

— Bardzo przepraszam, że księdzu dobrodziejowi jeszcze w tak późnej godzinie przeszkadzam. Przyszedłem księdza dobrodzieja wezwać do umierającego, który z księdzem dobrodziejem przed śmiercią chce pomówić.

— Ależ — wtrąciłem — czegoż to wzywają mnie, człowieka obcego, czemu nie kapłana z parafii?

— Umierający wyraźnie o księdza dobrodzieja prosił! — odrzekł zapytany — muszę naturalnie do woli księdza dobrodzieja zostawić, czy zechce ostatnie życzenie umierającego spełnić, czy nie; wiele czasu niema do stracenia.

Nie zaciekając się w to dziwne żądanie, poszedłem za tym panem natychmiast, i wyszedłem na ulicę. Tam czekał wspaniały powóz. Nieznany prosił mnie grzecznie, abym wsiadł, pomógł mi wsiąść, zatrzasnął drzwiczki, a sam szybko wsiadł na kozioł. Konie szybko kłusem popędziły przez brukowaną ulicę. Ku memu największemu zdziwieniu, spostrzegłem teraz przy świetle lamp przydrożnych, jeszcze trzech innych mężczyzn, o podejrzanych obliczach, siedzących w powozie. Przeląkłem się i już zabierałem się do wyskoczenia z powozu. W tej chwili jeden z nich porwał mnie za kołnierz, a drugą ręką przyłożył nagi sztylet do mych piersi, gdy drudzy dwaj mierzyli mi rewolwerami w głowę. O ucieczce ani myśleć. Zdałem się tedy na Boską Opatrzność i błagałem gorąco Pana Boga, aby mi dał szczęśliwą śmierć, bo sądziłem, że mój koniec się zbliża. Chętnie, a przynajmniej bez oporu, dałem sobie oczy zawiązać. Straszliwi towarzysze moi zapewniali mnie wprawdzie, że mi się nic złego nie stanie, jeźli cicho się zachowam, ale czegoż nie mogłem się lękać od tak tajemniczych ludzi! Ich głuche milczenie podczas całej jazdy podwajało moją trwogę.

Już prawie dwie godziny szybkośmy jechali, gdy powóz się zatrzymał. Wysadzono mnie z powozu i zaprowadzono do obszernego zabudowania, przez wiele kurytarzy i gmachów, po schodach na dół, do góry, w prawo i w lewo. Wreszcie jeden z nich rozwiązał mi oczy, oddalił się i zamknął za mną drzwi. Zdziwiony wodziłem oczyma wokoło. Znajdowałem się we wspaniałym salonie, zasłanym wielkimi kobiercami. Przepych, jaki w całem urządzeniu panował, kazał mi wnosić o bogactwie mieszkańców pałacu. Daremnie szukałem oczyma chorego, leżącego na łożu śmiertelnem. Jakby zaklęty stałem jeszcze w miejscu, w którem mi oczy rozwiązano. Nie wiedziałem, co myśleć, ani co mówić. Wtem podnosi się ze starożytnego fotelu, który stał w głębi salonu, jakiś pan, pełen zdrowia i życia, jeszcze w pełni wieku, chociaż siwe włosy wykradając się z pod czarnych, zdradzały już przejście do wieku sędziwego. Uprzejmie mnie powitał, choć dopiero pierwszy raz w życiu go widziałem i prosił mnie, bym usiadł. Ja mu rzekłem:

— Wezwano mnie do umierającego, ale jak widzę, zaszła jakaś pomyłka, albo kryje się jakiś podstęp, bo pan przecież jesteś zupełnie zdrów, jeźli mnie pozór niemyli.

— Wprawdzie zdrowie moje jest w najlepszym stanie — rzekł ów pan z bolesnym uśmiechem — a jednak mimo to muszę za godzinę umrzeć i dlatego proszę mnie do chrześcijańskiej śmierci przygotować.

— Co pan przez to chce powiedzieć? — zapytałem. — Pan jesteś zupełnie zdrów i silny, a za godzinę masz umrzeć?

Nieznajomy pan odrzekł spokojnie:

— Aby się nie rozwodzić, powiem księdzu dobrodziejowi krótko, że zostałem członkiem tajnego stowarzyszenia i stałem już na jednym z najwyższych jego stopni, ponieważ umiano ocenić mój wpływ w państwie i w społeczeństwie, prócz tego moją stanowczość w wykonaniu trudnych zamiarów, a przytem można było mych sił i mego znaczenia dobrze użyć ku celom stowa-

rzyszenia. Chętnie i odważnie służyłem od 28 lat celom naszego tajnego stowarzyszenia. Gdy niedawno temu los na mnie padł, bym wysokiego i powszechnie szanowanego, bardzo godnego i pobożnego prałata życia pozbawił, wzbroniłem się stanowczo wykonać ten rozkaz, choć przewidywałem, że podług naszych ostrych statutów śmierć niechybna mnie czeka. Wyrok zapadł, jeszcze tej nocy muszę umrzeć. Gdy mnie przyjmowano do tego stowarzyszenia, miałem poprzysiądz, że ani w życiu, ani przy śmierci nie będę żądał pomocy kapłańskiej; tej jednak przysięgi stanowczo odmówiłem — a ponieważ mnie można było użyć korzystnie, odstąpiono od tego żądania a teraz uczyniono memu życzeniu zadość. Aby uniknąć wszelkiego podejrzenia, zawołano księdza dobrodzieja, jako kapłana mniej z tutejszemi stosunkami obznajomionego.

— Jakąż śmiercią pan umrzesz?

— To rzecz prosta — rzekł. — Wbija się widełki żelazne w dolną część szyi blizko obojczyka, tak, że dwa ich końce przeszywają główne żyły. Śmierć następuje zaraz, i nie widać szerokiej rany. Ja sam 50 przeszło nie dotrzymujących słowa w ten sposób zgładziłem ze świata, albo widziałem, jak umierali. Od tego wyroku apelacyi niema, a gdyby kto chciał mieć, toby mu się nie udało, bo tajemne sieci naszego stowarzyszenia po całym świecie są pozastawiane. A teraz proszę mnie wysłuchać spowiedzi z całego życia; będzie ona długa, bo sumienie moje obciążone krwią, świętokradztwy i wielu innemi zbrodniami. Mam tylko jeszcze godzinę czasu — rzekł patrząc na złoty, brylantami sadzony zegarek. — Nie traćmy czasu!

I klęknął przy mojem krześle.

Może godzina upłynęła, gdy drzwi się otwarły i kilku mężczyzn pewnym krokiem weszło, aby skazanego na śmierć wyprowadzić. Ten wyprosił sobie jeszcze pół godziny, gdyż jeszcze spowiedzi nie skończył. Nie chciano mu tego pozwolić; gdyż mówiono, że już pierwsza po północy. Już jeden z tych mężczyzn wziął go za ramię i chciał go gwałtem wyprowadzić. Skazany jednak odwołał się do przyrzeczenia towarzyszy, że mu zupełną wolność zostawią w uporządkowaniu spraw zbawienia, a ja błagalne me prośby połączyłem z jego prośbami. Ci straszliwi ludzie pozwolili mu jeszcze 20 minut i usunęli się. Tymczasem skazany skończył spowiedź. Z najgorętszą skruchą i najżywszą pociechą, że się z Bogiem pojednał, otrzymał kapłańskie rozgrzeszenie. Z wdzięcznością całował mi rękę, na którą gorąca łza z jego oczów padła. Jakże mi bolesno, żem nie mógł udzielić Komunii św.! Miasto Komunii dałem mu relikwię Krzyża św. w srebrnej puszcze, którą dotąd jako skarb najdroższy nosiłem, i upomniałem go, aby zupełną ufność położył w Tym, który/za grzechy całego świata na tem drzewie zadość uczynił i jeszcze przed śmiercią pokutującemu łotrowi przebaczył. Z czułością przycisnął krzyżyk do ust i schował go na piersiach pod sukniami. Następnie zapytałem go, czy może ma jakie zlecenie, którebym mógł wykonać.

Prosił mnie więc, abym pozdrowił jego najukochańszą i cnotliwą małżonkę i dwie córki, z których jedna wstąpiła do Sercanek i wiele się modli za swego zbłąkanego ojca.

— Proszę je zapewnić, żem z Bogiem pojednany życie me zakończył.

— Ale — wtrąciłem — może one nie zechcą uwierzyć moim zapewnieniom, jeśli im nie dam niezbitego dowodu mej z panem rozmowy. Proszę tedy kilka słów napisać, aby mi, ujrzawszy własnoręczne pismo pańskie, uwierzyły.

Wziął tedy mój notesik i napisał ołówkiem:

— Droga Klotyldo, mając ten świat pożegnać, błagam cię o przebaczenie za zmartwienie, jakie ci nienaturalna śmierć moja sprawi! Pozdrów moje kochane, pobożne dzieci i pocieszaj siebie i córki zapewnieniem, że z Bogiem pojednany umieram, i że was tam w niebie ujrzeć się spodziewam. Módlcie się pilnie za mą biedną duszę! Twój Teodor.

Uprzejmie się skłoniwszy, oddał mi ten pan, którego stan i imię było mi teraz znajome, notesik, i prosił mnie, bym mu jeszcze kilka słów pociechy i otuchy powiedział. Ledwie kilka słów powiedziałem, gdy drzwi się otwarły i czterech mężczyzn weszło, by skazanego wyprowadzić. Ja go zasłaniam memi piersiami, odtrącam morderców rękami, błagam i proszę, aby oszczędzili życie najukochańszego męża i ojca, i rąk swych we krwi nie broczyli. Oni sobie szydzą ze mnie, śmiejąc się i odtrącając mnie swemi żelaznemi rękami, tak, żem się zatoczył. Ofiaruję im życie me za skazanego, upadam przed nimi na kolana i tak serdecznie ich błagam, że skałybym poruszył. Za całą odpowiedź kopią mnie nogami. Już związali skazańca i już go prowadzą. Odchodząc zawołał nieszczęsny:

— Bądź zdrów, czcigodny Ojcze, niech ci Bóg zapłaci za to, coś dla mnie uczynił. Pamiętaj o mnie ojcze, w twych ofiarach i modlitwach!

Do głębi wzruszony, patrzałem za nim aż się drzwi za nim zamknęły. Kroki przebrzmiały głucho na kurytarzach. Klęcząc i twarz rękami zasłoniwszy, modliłem się drżącemi usty i gorącą pobożnością do Boga o łaskę i miłosierdzie dla nieszczęśliwego, który u ludzi nie doznał miłosierdzia. Co w tej godzinie wycierpiałem, wie tylko Wszystkowiedzący. Słyszałem ryk tygrysów i panter krwiożerczych w gajach palmowych, i skalistych parowach Etyopii, straszliwe krokodyle rozwierały swe zębate paszcze na mnie, olbrzymie węże swemi zwojami zdusić mnie chciały, dzicy murzyni z Darfur i Wadai mierzyli do mnie zatrutymi strzały, ale dzikość wszystkich potworów natury i najmniej cywilizowanych narodów ziemi o wiele przewyższa ta złość szatańska, to nieludzkie okrucieństwo i bezwzględna surowość owych tajemnych towarzystw, które w ustach mają ludzkość, braterstwo, wolność i równość, ale w sercu noszą jad zatruty i mordują tych, których za braci uznać powinni, którzy jawnie i skrycie wstrząsają podwalinami państwa i Kościoła, aby na gruzach życia religijnego wznieść nową wieżę Babel. Tysiączne myśli tłoczyły mi się do głowy. Wszystko było cicho jak w grobie. Zimny pot spływał mi z czoła, jakgdybym ja sam był żywcem pogrzebany. Jak długo te tortury duchowe mnie męczyły, nie umiem powiedzieć.

Nagle drzwi się otwarły i czterej ci straszni mężowie stają przedemną. Nawet nie wezwany wyciągnąłem ręce, aby je związali, ale mnie nie związali, tylko zawiązali mi oczy, wodzili mnie po różnych kurytarzach bądź do góry, bądź na dół, jak przedtem. Wreszcie odwiązano mi oczy. Znajdowałem się w salonie rzęsiście oświetlonym, którego okna okiennicami były zasłonięte. Na wspaniałych stołach pełno było półmisków z pieczywem, owocami i łakociami, w srebrnych samowarach gotowała się chińska herbata, flaszki rozmaitego kształtu i barwy kazały się domyślać, że tu zbytek i używanie do najwyższego dochodzą stopnia. Wielu panów i pań przychodziło i wychodziło.

Jedni posilali się przy stole, inni rozmawiali w kącie, tu cała grupa żywo roprawiała, tam znowu stał jeden w myślach zatopiony. Kilka z dam wykwintnie odzianych wraz z kilku panami przystąpiło do mnie, prosząc, bym przyjął jaki posiłek, ale ja wszystkim ich natarczywym prośbom odmówiłem, mówiąc, że dziś jeszcze chcę mieć Mszę św., gdyż już druga po północy. Więcej na mnie nie nalegano. Gdym się zabierał do odejścia z tak tajemniczego towarzystwa, przyłączyło się do mnie kilku panów, sprowadzili mnie na dół, zawiązali mi oczy i wsadzili mnie w powóz, stojący w pogotowiu. Po kilkugodzinnej jeździe to brukiem, to miękką drogą polną, zatrzymał się powóz. W milczeniu wysadzili mnie moi towarzysze z powozu, szli ze mną kilka kroków i posadzili mnie na jakiś żelazny przedmiot. Zimny pot na mnie wystąpił, bo sądziłem, że tu mnie życia pozbawią. Może godzinę w takim strachu siedziałem, a śmierć nie nadchodziła. Odetchnąłem lżej, a ponieważ ani kroków, ani głosów ludzkich nie słyszałem, odsłoniłem sobie nieco oczy. Byłem sam. Nagle zrzuciłem chustkę z oczu, wstałem z żelaznego krzesła ogrodowego i oglądałem się wokoło. Panieważ już świtać zaczęło, ujrzałem się we wspaniałym ogrodzie, zasadzonym drzewkami i krzewami. Tuż przedemną stała cieplarnia, pełna roślin zagranicznych. Wszedłem, by znaleźć wyjście na drogę. Wtenczas obaczyłem drugie drzwi, wiodące do miłego domeczku. Zapukałem, jakaś kobieta otworzyła zdziwiona, że już tak wcześnie ktoś przybywa. Przeprosiłem, że tak wcześnie przeszkadzam, ale musiałem się zabłąkać, powracając od chorego. Kobieta zawołała męża i rzekła:

— Ksiądz dobrodziej zabłądził i życzy sobie, byś mu drogę pokazał.

— Gdzie ja też jestem? — zapytałem nieśmiało.

— Trzy godziny jazdy od Paryża — odrzekł młody, silny mężczyzna.

Nie wiedziałem co powiedzieć na razie, tak byłem przerażony.

— Trzy godziny od Paryża — szeptałem mechanicznie i zamyśliłem się.

— Czy prędko ksiądz dobrodziej chce być w Paryżu? — zapytał ogrodnik; — służę moim wózkiem, jeśli ksiądz dobrodziej nie pogardzi. Zaraz jadę do miasta, dokąd codzień kwiaty i jarzynę wożę.

Z wdzięcznością przyjąłem usługi poczciwego ogrodnika i przybyłem do Paryża dość wcześnie. Ale Mszy św. tego dnia nie miałem, bom był bardzo rozstrojony. Na ciele i na duchu zmęczony i zbity, rzuciłem się na krzesło. Rozmyślałem, czy to był sen, czy rzeczywistość. Niestety! najoczywistsza prawda!

Nazajutrz odprawiłem Mszę św. za owego nieszczęśliwego członka tajnego stowarzyszenia w poblizkim kościele Sercanek. Gdy po dziękczynieniu miałem odejść, zapytała mnie przełożona, czy mi co nie brakuje, że tak źle wyglądam. Zrazu dałem odpowiedź wymijającą; ale ponieważ z niej nie była zadowoloną, opowiedziałem jej co mi się tamtej nocy wydarzyło. Wysłuchawszy mego opowiadania, wśród łez mi powiedziała, że córka zamordowanego jest zakonnicą w tym klasztorze i bardzo za swego drogiego ojca się modli, gdyż wie, iż on jest członkiem tajnego stowarzyszenia; że się bardzo ucieszy wiadomością, iż ojciec jej się nawrócił.

W dzień Bożego Narodzenia znowu nad tą tajemniczą historyą rozmyślałem. Mimowoli wzrok mój padł na paryską gazetę, w której obwieszczone bywają różne wypadki śmierci, między innemi i takich osób, które jako nieznane w gmachu na przechowanie zwłok przeznaczonym, na widok wystawione bywają. Natychmiast wstaję i biegnę do gmachu owego. Tam znajduję sześć trupów, ale żaden z nich nie był podobny do tego, którego szukałem. Zawiedziony i niezadowolony chciałem już wyjść i jeszcze raz się rozglądam. Wtem ujrzałem na ścianie znane mi suknie, a na tasiemce wisi moja kosztowna relikwia Krzyża św. Jeszcze lepiej przypatrzyłem się trupowi, który leżał obok tych sukni. I rzeczywiście był to trup zamordowanego, choć bardzo zmieniony, ale rysy znamienne dały się jeszcze rozpoznać. Aby się doskonale przekonać, odsłoniłem nieco pokrycie i rzeczywiście na szyi były dwie dziurki, z przodu nieco szersze jak na karku. Obie żyły były na szyi przebite. Dozorca się zbliżył i pytał mnie ciekawie:

— Czy pan wśród umarłych szukasz znajomego?

— Uczyłem się medycyny — rzekłem wymijająco — i lubię poznawać rodzaje śmierci. Wcale nie kłamałem; bo rzeczywiście uczyłem się medycyny, która mi bardzo na misyach się przydaje.

— Tego pana wyciągnięto z Sekwany — rzekł nadzorca — musiał utonąć.

Milczałem, aby się nie zdradzić, i zostawiłem go w błędzie. Nieraz chciałem moją relikwię wziąść, ale bojaźń, by się nie zdradzić, i mniemanie, że przecież tak świętej rzeczy nie zechcą znieważyć, wstrzymała mnie od wykonania zamiaru. Jak obiecałem, i nazajutrz odprawiłem Mszę św. w owym klasztorze. Po Mszy św. przyszła do rozmownicy zakonnica i wśród łez i łkania rzekła:

— Proszę w modlitwach i we Mszach św. pamiętać o moim nieszczęśliwym ojcu.

— Czy mogę spytać, co się stało ojcu Wielebnej Siostry?

— Ach, — odrzekła, straciłam mego drogiego ojca, podwójnie straciłam: w czasie i w wieczności! Gdyby był umarł w łasce Bożej, mogłabym przeboleć tę stratę, ale po życiu tak bezbożnem tak nagle umrzeć — o, to straszna, to okropna rzecz! O gdybym mogła wybawić duszę ojca mego skądinąd tak dobrego, chętniebym poniosła wszystkie męki czyścowe aż do dnia sądnego! Wszystkie choroby, kalectwa, cierpienia i przykrości tej ziemi, wszystkie męki piekielne wzięłabym na siebie, gdybym w ten sposób duszę jego wybawić mogła.

— Niech się siostra cieszy! Konający Zbawiciel ulitował się nad lotrem w ostatniej życia chwili! Gorące modły Wielebnej Siostry z pewnością i ojcu pomogły.

— Muszę o tem wątpić — rzekła zakonnica, bo mój ojciec należał do tajnego stowarzyszenia, którego członkowie przy śmierci wszelką pociechę religii odrzucają.

— A gdyby ojciec Wielebnej Siostry pomimo to spowiadał się przed śmiercią? — zapytałem.

I wyjąłem notesik i pokazałem jej pismo ojca. Oczy jej rozpromieniły się, przytuliła pismo do ust i padając na kolana, wyciągnęła ręce i łzawemi oczyma do nieba spoglądając, zawołała silnym radosnym głosem:

— Bogu wieczne dzięki! Mój ojciec ocalony!

Polska ziemia i wojna.

Ksiądz Lucyan Lacroix, były biskup Tarentaise, odpowiadając na ankietę Sienkiewicza w sprawie pruskiej ustawy o wywłaszczeniu Polaków, tak pisze:

„Jak Polacy kochają swą ziemię rodzinną, to jeden Bóg wie tylko. Niegdyś, przed dwudziestu laty, mówiłem

kazanie za ich wielkich zmarłych. Ukląkłem razem z nimi na cmentarzu w Montmorency, na grobach ich braci i pamiętam dobrze głębokie wzruszenie, które wstrząsnęło moją duszą, gdym się dowiedział, iż ci wszyscy wygnańcy kazali się grzebać z grudką ziemi ojczystej, z nad brzegów Wisły przywiezionej"...

U nas zawsze tak było. Wszak „legia nadwiślańska", za Napoleona, w chwili odmarszu cała padła na kolana, świętą ziemię ucałowała i każdy z żołnierzy wziął jej szczyptę, którą, jak wielką świętość, nosił w woreczku na piersi...

Zdarzało się, że w obecnej wojnie tu i ówdzie mimo morderczego ognia chłop polski świętą ziemię orał. Kule nad nim latały, a on, spokojny, krajał skiby...

W zeszłym roku na wiosnę, pod Szczekocinami, orał chłop w polu własnemi dziećmi. Nie było koni, bo je wojsko zabrało, więc się dziecięta do pługu zaprzęgły. Prężyły się chude rączęta, głęboko się zapadały w ziemię chude nóżęta, a one ciągły pług, bo świętą ziemię trza było na wiosnę zaorać...

Skąd to pochodzi, że ten polski naród do swej ziemi tak ogromnie przywrzał?

Jestto tajemnica krwi. To, co wielki papież powiedział o polskiej ziemi, że ona, jak relikwia krwią męczenników nasiąkła, bo starczy jej grudkę ścisnąć, by krew wytrysła, to tkwi w naszem żywotnem poczuciu. Ta ziemia, od tylu i tylu wieków krew naszych bohaterów chłonęła. A była to krew prawdziwych męczenników. Wszak polskie rycerstwo przez pięćset lat z górą w obronie wiary świętej tylko walczyło.

Przepaja się i dzisiaj obficie ta ziemia serdeczną krwią tych, co w imę świętej powinności przelać ją poszli...

Stad to ta ziemia taka nam jest droga. W jej łonie polska krew płynie i dlatego ona nam jest matką prawdziwą.

Od tej matki żywicielki chcą nas oderwać wrogi. Snują się po naszym kraju obcy przybysze, którzy chcą tę ziemię wykupywać.

Zdrajca ten, kto matkę ziemię sprzedaje, zdrajca tem większy, że sprzedaje krew braci...

Na przednowku.

W tem tak olbrzymiem nieszczęściu serce ludzkie szuka podpory i pociechy, a zwłaszcza, gdy człowieka męczą myśli takie: Dlaczego to właśnie na nas taka klęska przyjść musiała? dlaczego to mój właśnie mąż, mój syn, ojciec musiał zginąć? dlaczego mój mąż wrócił kaleką? Jak wogóle taka wojna była możliwą? Czyż — wzbrania się dusza taką myśl przypuścić, a czasem się narzuca — czyż ma być prawdą, co niektórzy mówią, że Pana Boga niemasz na niebie?

Różni się zjawiają pocieszyciele, którzy pięknemi słowy pocieszać się starają zbolałe serce, ale jedno tylko jest źródło, gdzie zawsze prawdziwą pociechę i ulgę czerpać można i światła na rozwiązanie wszystkich wątpliwości i pytań, a tem źródłem to nasza wiara św. katolicka, a mianowicie wiara w Opatrzność Bożą!

O wy wszyscy, wy szczególnie, którzy najboleśniej dotknięci jesteście, wy synowie i bracia nasi, którzy powołani pod broń, narażeni jesteście na śmierć, albo zranieni kulą nieprzyjacielską, cierpicie okrutny ból, kalekami zostaliście na całe życie; wy matki i żony, które trwożycie się o los swoich, wy biedne sieroty, którym okrutna wojna wzięła żywiciela, a które straszy widmo głodu obudźcie w sobie wiarę i Opatrzność Boską. Zwłaszcza w obecnych tygodniach, w czasie przednowku, kiedy jeszcze trudniej jest postarać się o środki dla życia, tembardziej powinniśmy pamiętać o Opatrzności Boskiej.

Pan Bóg w pieczołowitości Swojej myśli o stworzeniach wszystkich, ale szczególną opieką otacza człowieka: „Oczy Jego nad drogami człowieczemi i wszystkie kroki ich otacza". (Job. 34, 21).

Jakże mogłoby też być inaczej? Jakże miałby nie opiekować się w szczególniejszy sposób człowiekiem Bóg, który w barwne szaty odziewa trawę polną, która dzisiaj rośnie, a jutro więdnieje, który ptaki w powietrzu wziął pod swoją opiekę. „Iżali dwóch wróbli za pieniądz nie sprzedają? a jeden z nich nie padnie na ziemię bez Ojca waszego. Nie bójcie się tedy: lepsiście wy niż wiele wróbli. Wasze włosy wszytkie na głowie są policzone". (Mat. 10, 29—31).

Jeżeli więc Pan Bóg temi najdrobniejszemi stworzeniami opiekuje się z tak wielką miłością, to z jakąż dopiero miłością opiekuje się zawsze człowiekiem, którego stworzył na obraz i podobieństwo Swoje, którego zrobił królem wszechświata?

O tej szczególnej opiece, jaką Opatrzność Boża otacza człowieka, czytamy u Psalmisty: „Aniołom swoim rozkazał Bóg o tobie, aby cię strzegli na wszystkich drogach twoich. Na ręku nosić cię będą, abyś snać nie obraził o kamień nogi twojej". (Ps. 90). Jeszcze wymowniejszemi słowy głosi to Bóg u Proroka.. Oto żeby okazać jak troskliwie czuwa nad nami, jak pilnie pamięta o wszystkich naszych potrzebach, porównywa się do matki i woła: „Iżali może matka zapomnieć niemowlęcia swego! A choćby ona zapomniała, wszakże ja nie zapomnę ciebie". (Iz. 59, 15—16). Jakież cudowne słowa! Zawsze więc jesteśmy przed Jego oczyma, w Jego pamięci i sercu!

Czyż nam nie każe wzywać Siebie słodkim imieniem „Ojcze"!

Chociaż więc widoki na przyszłość ponure: w górę serca! Chociaż zapasy chleba ograniczone: Pan Bóg, który ptaki niebieskie karmi, nie pozwoli, iżbyś ty ukochane dziecko Jego z głodu umarło; chociaż żywiciela zabrano ci na wojnę, nie martw się: „Pan Bóg tego nie opuści, kto się na Niego spuści" mówi przysłowie.

Nie godzi się więc lękać nieustannie o to, jak będziecie żyli na świecie; tem mniej troszcząc się o to zbytecznie, godzi się zaniedbywać obowiązki, jakie na nas ciężą czy wobec Pana Boga, czy wobec rodziny, czy siebie samych. Pan Bóg troszczyć się będzie o wszystko i wszystko uczyni dobrze, bylebyście szli drogą przykazań Jego, jak za to Psalmista wielbi Pana Boga: „Byłem młodym i zestarzałem się, a nie widziałem sprawiedliwego opuszczonego". (Ps. 3, 25). Dlatego też Zbawiciel nasz gani ludzi takich, co są zbyt lękliwi i troskliwi o przyszłość życia doczesnego; chce raczej, abyśmy wszelką troskę zostawili Panu Bogu i dla-

tego mówi: „Nie troszczcie się o duszę waszą, cobyście jedli, ani o ciało wasze, czembyście się odziewali... albowiem Ojciec wasz niebieski wie, że tego wszystkiego potrzebujecie. Szukajcie tedy najprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a to wszystko będzie wam przydane". (Mat. 6, 25, 32—33). Skoro ludzie troszczą się o rzeczy dotyczące zbawienia, wtedy Pan Bóg troszczy się o to, aby mieli to, co potrzebne do życia doczesnego. Gdy tłumy ludzi słuchają słów Pana Jezusa, On myśli o tem, jakby ich nakarmić i dlatego dopytuje się, czy nie mają chleba, a inny raz przy sposobności podobnej odzywa się: „Żal mi ludu, iż oto już trzy dni trwają przy mnie, a nie mają, coby jedli", nakarmia ich cudownie znowu. (Mar. 8, 2). Co więcej Pan Bóg troszczy się o rzeczy najdrobniejsze, jak to wypowiedział Pan Jezus tłumom zgromadzonym: „Wasze włosy na głowie są policzone". (Mat. 10, 30).

Dlatego wśród utrapień i biedy pamiętajcie na słowa św. Piotra, który tylekrotnie wśród prześladowań doznał nad sobą opieki Bożej: „Wszysko troskanie wasze składajcie na Pana, gdyż On ma pieczę o was". (Piotr 5, 7). Powtarzajcie słowa Psalmisty: „Pan mną rządzi, a na niczem mi schodzić nie będzie". (Ps. 22, 1).

Niezwykłe nawrócenie.

Niektórzy mniemają, że kto pozostaje dłuższy czas w jakim nieszczęśliwym nałogu, ten nie ma już siły powstać z niego i jest niejako zniewolonym do grzechu; ale przeczytawszy następujący przykład, przekonają się, że niema nic, czegobyśmy nie mogli uczynić w Tym, który nas umacnia i że łaska ułatwia wszystko tym, którzy postępują według natchnień zbawiennych.

W wiosce położonej koło Nimes, mieszkał wieśniak, imieniem Jan, który od młodości oddawał się pijaństwu tak, że nie będąc nigdy trzeźwym, uchodził za największego pijaka w okolicy. Proboszcz tej parafii, sprowadzając misyonarzy dla moralnego podniesienia swych owieczek, uprzedził ich o tem. Ale ta przezorność pasterza okazała się nieużyteczną, bo nietylko, że wieśniak nie pokazał się żadnemu z misyonarzy, ale nawet przez pierwsze trzy tygodnie nie był obecnym na żadnej nauce misyjnej. Dopiero na dwa dni przed skończeniem misyi, zdecydował się przyjść na kazanie o synu marnotrawnym, czyli o miłosierdziu Boskiem. Kazanie to miał ksiądz Castel z Nimes, jeden z najgorliwszych i najwięcej utalentowanych misyonarzy. Ta mowa wypowiedziana z wielką siłą i namaszczeniem, zrobiła silne wrażenie na nowym słuchaczu. Poznał swój obraz odmalowany w synu marnotrawnym, poznał w dobroci ojca, wzruszającą dobroć Boga, a ożywiony ufnością i skruchą, powtórzył za przykładem marnotrawcy ewangelicznego:

— Porzucę nakoniec nieszczęśliwy nałóg, w którym tak długo leżałem i pójdę rzucić się do nóg tego miłosierdzia przedstawionego mi pod obrazem najczulszego ojca.

Jego postanowienie było niemniej budujące, jak niespodziewane; następnego dnia rano udał się do księdza Castel, którego kazanie łyszał, a wybuchając płaczem, rzekł:

— Oto masz Ojcze przed sobą największego grzesznika na ziemi. Powiedziałeś wczoraj, że miłosierdzie Boże jest większe, jak wszystkie grzechy nasze, więc pragnąc ściągnąć na siebie zbawienne jego skutki, przychodzę cię prosić o wysłuchanie spowiedzi. Ah! nie odmawiaj mi, mój Ojcze, zaklinam Cię, doprowadziłbyś mnie do rozpaczy, bo nie mogę już dłużej znieść wyrzutów sumienia i nie uspokoję się, dopóki nie pojednasz mnie z Bogiem miłosiernym, którego tak bardzo obraziłem.

Misyonarz wzruszony zdziwił się tembardziej, gdy poznał, że to był ów sławny pijak, o którym tyle mówiono. Ściskał go z rozczuleniem w swoich objęciach i okazywał mu tesame uczucia, jak ojciec synowi marnotrawnemu, lecz przedstawił mu ze słodyczą, że przyszedł zapóźno, więc się obawia, by nie było za mało czasu do udzielenia mu tak gorąco upragnionego przebaczenia.

— Ach jeżeli tak jest — rzekł wieśniak, zalewając się łzami — już wszystko skończone, jestem zgubiony, ale mam nadzieję, że jak mnie lepiej poznasz, ulitujesz się nademną. Zrób mi tę łaskę i wysłuchaj mnie, o mój dobry Ojcze! Niech mam tę pociechę, bym się mógł wyspowiadać.

Ksiądz Castel zadośćuczynił jego żądaniu, a wieśniak odbył spowiedź bardzo dokładną, której towarzyszyły westchnienia i łzy, tyle oznak żywego i szczerego żalu, iż nie chciał się nawet poddać przezornej radzie mu udzielonej, aby ze względu na zdrowie, zupełnie nie wyrzekał się wina, lecz używał go rzadziej i z umiarkowaniem; powtarzał często i stanowczo, że go nic nigdy nie pojedna z tym strasznym wrogiem, który zadał śmierć jego duszy, a którego będzie o tyle nienawidził, o ile go miłował przedtem. Spowiednik udzielił natychmiast rozgrzeszenia penitentowi, który okazał się na samym wstępie lepiej usposobiony, niż inni po długich próbach. Udzieliwszy mu więc absolucyi, zachęcał gorąco do wytrwania w uczuciach, jakie Bóg w nim wzbudził. Wieśniak dotrzymał wiernie danej obietnicy.

W pięć lub sześć miesięcy potem, jedna z sióstr Jana pojechała do Nimes. Tam spotkał ją ksiądz Castel i zapytał o swego penitenta:

— Idziesz pewno z domu i możesz mi powiedzieć, co się dzieje z poczciwym Janem?

— O mój dobry Ojcze, odpowiedziała kobieta, jesteśmy ci bardzo wdzięczni; zrobiłeś z niego świętego. Od czasu, jak nas opuściłeś, nietylko jego dawni przyjaciele nie mogli go zaciągnąć do karczmy, ale nam samym było niepodobieństwem, skłonić go do przełknięcia jednej kropli wina.

— Ono było moim największym nieprzyjacielem, powtarza, gdy mu się o tem wspomni — przysiągłem mu wieczną nienawiść, dotrzymam słowa, nie mówcie mi więcej.

Zacny misyonarz nie mógł słuchać tych słów bez łzy radości, a ile razy powtarzał to zdarzenie, które z ust jego otrzymaliśmy, miał zwyczaj mawiać, że po takiem nawróceniu nie powinno się wątpić o żadnym grzeszniku.

Wielkie zwycięstwo.

— Miałem lat 26, — opowiada pan Jerzy L. — gdym przybył do Lyonu i tam pierwszy raz słyszałem o proboszczu z Ars, księdzu Vianney. Opowiadano mi, że jego konfesyonał jest w ciągłem oblężeniu, że całe gromady ludzi nawet z dalekich okolic garną się do spowiedzi u niego. Jako u sławnych lekarzy lub w sławnych uzdrowiskach szukają ludzie zdrowia ciała, tak u niego szukali ludzie uzdrowienia duszy.

Przyszło mi tedy na myśl, pojechać do Ars. Udałem się więc pewnego dnia w listopadzie do Ars, więcej z ciekawości jak z nabożeństwa, bo mi nawet na myśl nie przyszło, aby się tam spowiadać. Przyszedłszy do kościoła, ujrzałem około stu ludzi przeważnie mężczyzn przy konfesyonale proboszcza.

Powróciwszy do hotelu, chciałem właśnie zjeść obiad, gdy gospodarz mnie zapytał, czybym nie chciał razem z jakimś księdzem obiadować?

— I owszem, czemu nie? — odpowiedziałem. — W pięć minut potem siedziałem przy stole naprzeciwko jakiegoś podeszłego kanonika. Rozmowa, rozumie się, toczyła się około spowiednika z Ars.

— Czy ksiądz kanonik sądzi, — zapytałem — że istotnie ks. proboszcz Vianney jest tak doświadczonym spowiednikiem, jak mówią?

— Nie wiem — odrzekł — czy jest doświadczonym spowiednikiem, jabym myślał, że on jest pełen Ducha Bożego. Ten mąż ma tajemniczy dar usuwania wszelkich wątpliwości i nawracania ludzi najgłębiej upadłych w sposób dziwny i prawie cudowny. Zresztą pan sam doświadczysz i będziesz mógł własny sąd wydać.

— Zdaje się, że nie, — odrzekłem uśmiechając się, — gdyż niemam wcale zamiaru spowiadania się.

— To pan może nie dobrze czyni — odrzekł kanonik krótko; i mówiliśmy o czem innem.

Wieczór tego samego dnia, o godzinie 10, odszedłem od konfesyonału proboszcza z Ars.

— Czy mieszkasz w rodzinnem mieście? — zapytał mnie ten święty kapłan, nim mi udzielił rozgrzeszenia.

— Tak jest, mój ojcze — odrzekłem.

— Więc cię tam wszyscy dobrze znają?

— Rozumie się.

— Więc dobrze! za pokutę zadaję ci, abyś teraz, nim wyjdziesz z kościoła, wzbudził akty wiary, nadziei i miłości. Ale to nie wszystko. Prócz tego, w uroczystość Bożego Ciała będziesz na jednej z procesyi i to tak, że pójdziesz zaraz za kapłanem, niosącym Najśw. Sakrament. A teraz idź w pokoju mój synu.

Aby przyczynę takiej pokuty zrozumieć, trzeba dodać, że w wielu okolicach Francyi mężczyźni, zwłaszcza z klas wykształconych, zupełnie się usuwają od objawów zewnętrznej czci Bożej.

W innym czasie, w innym kościele, innego kapłana prosiłbym usilnie, aby mi tę drugą część pokuty zamienił na inny dobry uczynek np. na jakie modlitwy, albo na jałmużnę, ale w tej chwili szacunek dla kapłana i wewnętrzne wzruszenie zamknęły mi usta.

Kanonik miał słuszność; proboszcz był nadzwyczajnym spowiednikiem. Umiał trafić w samo sedno, dotknął najgłówniejszej rany mej duszy, a tą raną był wzgląd ludzki czyli fałszywy wstyd. Obowiązując mnie do spełnienia tak jawnego aktu religijnego, jakim był udział w tej procesyi w mieście mem rodzinnem, zadał mi gorzkie i gwałtowne lekarstwo, na które cała moja natura się wzdrygała, które jednak właśnie dlatego miało być dla mnie najskuteczniejsze. Tym czasem pocieszałem się myślą, że do tej straszliwej pokuty mam jeszcze sześć miesięcy.

Procesya Bożego Ciała jest jednym z najwznioślejszych objawów wiary katolickiej. W niektórych krajach i niektórych wielkich miastach przybiera ona postać iście majestatyczną. Widziałem, jak za baldachimem, który osłania Najśw. Sakrament, postępowały najwyższe władze cywilne w pełnym karmazynowym stroju dwu lub trzech jenerałów ze swymi adjutantami, namiestnik kraju, burmistrz z całą swą radą, czterystu lub pięciuset szlachty i zacnych obywateli, którzy do najwyższego towarzystwa się zaliczali. Nawet najbardziej lekkomyślny i oziębły chrześcijanin może bez wahania przyłączyć się do tego czcigodnego pochodu. Na nieszczęście w mojem mieście rodzinnem tak nie było. Mężczyźni zupełnie się usunęli wyjąwszy szkolnej młodzieży i kilkudziesięciu rzemieślników, którzy do bractw kościelnych należeli, żaden mężczyzna nie pokazał się na procesyi.

Choć w ten sposób procesya mniej była świetna, to zbiegowisko było tem większe. Mieszkańcy miasta przyglądali się pochodowi z okien, lub zapełniali tłumnie ulice miasta. Cóż sobie pomyślą, co powiedzą ci wszyscy, gdy tego tak światłego i postępowego Jerzego L. ujrzą na procesyi zaraz za N. Sakramentem idącego? Na samą myśl o tem, zimny pot na czoło me występował. A jednak najmocniej wierzyłem w rzeczywistą obecność P. Jezusa w Najświętszym Sakramencie; czułem w głębi serca, że wszyscy monarchowie świata spełniliby tylko swój obowiązek święty, gdyby boso, posypawszy głowy popiołem, szli za swym Bogiem ukrytym pod postaciami Sakramentalnemi.

Tymczasem zbliżył się ten dzień uroczysty Bożego Ciała. Procesya zaczyna się u nas po nieszporach. Chcąc sobie dodać odwagi, poszedłem na nieszpory, czegom dotąd nigdy nie czynił, i stanąłem sobie umyślnie blizko ołtarza. Ale cóż się dzieje? Jakaś znajoma mi pani prawdopodobnie przypadkiem rzuciła okiem w tę stronę gdzie ja stałem. W tej chwili zdawało mi się, że cały kościół na mnie patrzy, że ja sam jeden jestem przedmiotem uwagi wszystkich, że duchowieństwo, przełożony kościoła i zakrystyan, że wszystkie pobożne damy, kobiety i dzieci szeptają:

— Patrz, patrz, pan L.! Czego on tu chce?

Ta myśl tak mię zmięszała, żem nie zauważył, że procesya już się ustawia i już zaczyna z kościoła wychodzić. Kapłan z Najśw. Sakramentem przeszedł koło mnie, jam nie miał odwagi przyłączyć się i odłożyłem straszną pokutę do przyszłej niedzieli.

Przebacz o mój Boże! Tak jest, był czas, w którym nieoszacowaną łaskę, jaką Ty nędznemu grzesznikowi wyświadczasz, iż mu pozwalasz towarzyszyć sobie, uważałem za służbę niewolniczą.

Następnej nocy miałem gorączkę, której przyczyną było zapewne rozdrażnienie. Czyżby można uwierzyć? — Cieszyłem się z tej gorączki, życzyłem sobie, aby się wzmogła, aby się przedłużyła, aby mnie do łoża albo przynajmniej do pokoju przykuła na cały przyszły tydzień. Do rzeczy niemożliwej nikogo obowiązać nie można, a przeto byłbym uwolniony od obowiązku uczestniczenia w procesyi.

Ale gorączka minęła i nie powtórzyła się, a niedziela zbliżała się szybko. W życiu całem żaden tydzień nie wydał mi się tak krótkim, jak ten. W niedzielę, wyznaję to na moje zawstydzenie, ucieszyłem się bardzo, gdy ciemne chmury ze wszech stron zaczynały się powoli gromadzić na niebie. Nastąpił deszcz ulewny z gradem — zapewne, myślałem, procesyi nie będzie.

Lecz procesya się odbyła; ja raczej umarły jak żywy postępowałem za baldachimem. Choćbym sto lat żył, nie zapomnę nigdy tych dwu godzin, które wtenczas przeżyłem. Z czoła lał mi się pot zimny, nogi chwiały się pode mną. Od czasu do czasu wzbudziłem akt wiary i starałem się modlić. Ale tylko usta bełkotały modlitwy, postanowiłem sobie ani na chwilkę głowy nie podnieść i byłem wierny temu postanowieniu.

Po dwu tygodniach niespodzianie odwiedził mnie pan S...., mąż dla swego wykształcenia, zręczności i odwagi w wyznaniu swych zasad, bardzo ceniony. Bez ogródek zrobił mi propozycyę, abym z nim i jednym z jego przyjaciół założył w mieście stowarzyszenie św. Wincentego. Można sobie wyobrazić, ile trudności mu zrobiłem, ale on z zupełną pewnością zwycięstwa zawołał:

— Co? Pan masz tyle odwagi na wyznanie wiary i tyle pobożności, że sam jeden byłeś na procesyi, a nie miałbyś się do nas przyłączyć?

Poddałem się wreszcie i obiecałem przystąpić. Tak na drodze do dobrego jak i do złego, tylko pierwszy krok wymaga ofiary.

Wsparty przez dwu odważnych katolików, wzmocniony świętymi Sakramentami, które odtąd za przykładem mych przyjaciół co miesiąc przyjmowałem, powoli pozbyłem się nieszczęśliwego względu ludzkiego. W przeciągu dwu lat udało się nam założyć stowarzyszenie św. Wincentego, do którego trzydziestu młodych ludzi z najlepszych i pierwszych rodzin kraju się przyłączyło.

Niedawno wszyscy razem byliśmy przytomni na obu procesyach Bożego Ciała idąc zaraz za baldachimem. Uczyniliśmy to ze świętą radością, a jeśli mi wolno innych podług siebie sądzić, z pewną świętą dumą.

Obecność Boska.

Jest to niestety smutnym faktem, że bardzo wielu Chrześcijan bez należytego nabożeństwa i uszanowania na Mszy św. się zachowują. Ich postawa i zachowanie się wcale nie pozwalają wnosić, że się znajdują przed Tronem nieskończonego Majestatu; a jednak nawet niewierny czuje w obecności naszego Boga na ołtarzu ukrytego, dreszcz tajemniczej przytomności Stwórcy swego, który go zmusza uklęknąć i ukorzyć się przed nieznanym sobie Bogiem. Za dowód niech posłuży następujące opowiadanie nawróconego Turka:

— Jako członek poselstwa naszego sułtana, na dworze jednego panującego, przebywałem przez niejaki czas w Rzymie. Na jednej z przechadzek szedłem obok bramy kościoła św. Piotra i dla zabicia czasu wstąpiłem do tego wspaniałego domu Bożego. Zrazu nie mogłem we Mszy, która się właśnie rozpoczęła, zasmakować, bo mi się jakoby jaka dziecinna zabawka wydawała. Kapłani chodzili z jednej strony ołtarza na drugą, kadzili kadzielnicami i czynili rozmaite ukłony. Krótko mówiąc — niepodobało mi się. Ale im dalej czynność święta postępowała, tem żywiej owładało mną uczucie, jakiego aż dotąd nie znałem. Czy to postawa modlącego się tłumu na mnie tak głębokie czyniła wrażenie? Nagle usłyszałem głos małego dzwonka; nastała cisza głęboka, nawet ci, co byli najbardziej roztargnieni i nieuważni upadli na kolana, schylili głowy i bili się w piersi.

Wtem wpadły mi na myśl, sam niewiem jak, owe słowa Pisma św.:

— Mojżeszu, zdejm obuwie, bo miejsce na którem stoisz, święte jest.

W jednej chwili upadłem na kolana i połączyłem moją modlitwę z modlitwą wiernej rzeszy. Cóż to było, co na mnie w owej chwili tak potężnie podziałało? Nie słyszałem ani śpiewu czarującego, ani kazania porywającego; tylko uroczysta cisza była wokoło mnie, przerywana dźwiękiem małego dzwonka. „Cóż to było, co do mnie tak potężnie przemawiało?“ zapytałem nazajutrz katolickiego kapłana.

— To była obecność Boska, mój synu, — odrzekł tenże głosem pełnym głębokiego uszanowania; — Bóg sam był, choć przed twemi oczyma ukryty, na owym ołtarzu obecny, choć głosu Jego cielesnemi uszami nie słyszałeś. On mówił do twego rozumu i do twego serca. On cię wezwał, abyś otworzył oczy i myślał. On ci się kazał domyślać, że na owym ołtarzu coś wzniosłego się odbywa, czego ani ty, ani zebrana rzesza nie mogła spostrzedz, a jednak w to wierzyła niewzruszenie.

Czułem w głębi serca prawdę tych słów, ale duch mój uparty burzył się mocno przeciw tej prawdzie; wreszcie łaska zwyciężyła, a ja zażyłem szczęścia, z milionami katolików pobożnych, Bogu pod postacią chleba ukrytemu moją cześć oddać.

Czyżby to było możliwe, na Mszy św. bez pobożności i uczciwości być przytomnym, gdybyśmy pamiętali, że Syn Boży we własnej osobie obecny na ołtarzu ofiarę swą krzyżową ponawia.

Mleczarka i siostra miłosierdzia.

Baron O., był wielkim miłośnikiem ludzi. Nie lubiał takich dzieł miłosierdzia, które najczęściej głoszone po gazetach, obrachowane są na tytuły i ordery lub na jakąkolwiek pochwałę ludzką.

Żył bardzo skromnie, aby mógł z tego co mu zbywało, jak najwięcej wspierać ubogich, których rzeczywiście bardzo wielu kochał, chętnie odwiedzał i pielęgnował.

Uczył się medycyny, a tytuł doktora niemniej mu był miły, jak tytuł barona. A jednak mimo tego wszystkiego, wielki miał błąd i nieszczęście, że wcale wiary nie miał.

Baron miał córkę jedynaczkę. Chociaż był wdowcem i córkę bardzo kochał, jednak nie robił jej żadnych trudności, gdy w 25-tym roku życia postanowiła zostać siostrą miłosierdzia. Uspokoił się tem, że przez kilka miesięcy swoje powołanie wypróbowała, i swego ojca duchownego o zdanie i radę pytała. Tak tedy, jego ukochana córka, została ubogą siostrą Eudoksyą w Zgromadzeniu św. Wincentego a Paulo.

Od roku siostra Eudoksya znajdowała się jako przełożona apteczki w szpitalu miejskim w Castres (Kastr).

Niewierzący jej ojciec w czasie cholery wiele dni i nocy spędził wraz z kapłanami przy łożu chorych. Nigdy kapłanom w spełnianiu ich obowiązków nie stawiał trudności. — Nie trzeba, jak mówił, biednemu ludowi zabierać jego złudzeń, które mu przynoszą pociechę.

Szlachetne poświęcenie się kapłanów, które niemniejsze było jak jego własne, a nawet nieraz większe, bynajmniej nie zachwiało jego niewiary.

Pewnego styczniowego poranku, powrócił baron od jednego ze swoich najuboższych pacyentów, a było wtedy bardzo zimno i ślizko tak, że trzebaby było mieć łyżwy, aby bezpiecznie módz przejść przez ulice miasta. Baron pośliznął się, i gdy chciał się utrzymać w równowadze, upadł wywichnąwszy nogę. Na nieszczęście jeszcze taka gęsta mgła zaległa ziemię, że nikt go nie dostrzegł, jak leżał na rogu jednej ulicy.

Nagle jednak przystąpiła do niego wysoka, silna i bardzo zacna mleczarka.

— Ach, to pan, panie baronie? — przywitała go,— co pan tu robi?

— Skądże mnie pani zna?

— Skąd pana znam? A któż w całej okolicy nie zna pana barona. O?... Ale co to panu?

Baron opowiedział jej, że zwichnął nogę, i nie może się ruszyć. Poczciwa mleczarka wzięła barona na plecy i niosła go po ślizkich ulicach przez pół godziny, aż do domu barona.

Aby nie zważać na ból, pytał się baron mleczarki:

— Czemże się pani odwdzięczę? Uczynię, co pani chce, jeśli to będzie w mej mocy.

— Panie baronie, złapałeś się pan, — rzekła mleczarka, śmiejąc się. — Czem się mi pan może odwdzięczyć? Mówiąc otwarcie, nigdy nie myślałam, że mi się tak wyborna sposobność nastręczy powiedzieć panu. Księdza możesz pan do siebie poprosić, szczerze go usłuchać i dobrym chrześcijaninem zostać. Wierz mi pan, to prawdziwe zgorszenie, takiego człowieka jak pan, w rzeczach religii widzieć po stronie podłych rozpustników.

— Pani jesteś świętym Janem Złotoustym, ale cóż robić? dałem pani słowo i dotrzymam go. Poproszę do siebie kapłana. Jego rzeczą będzie, przekonać mnie i nawrócić; ale pani naprzód mówię, że się dobrze napoci, niż ze mnie zrobi chrześcijanina.

— Ale ja wiem, że ten trud będzie bardzo miły.

Jeśli tak prawy mąż jak baron, okaże gotowość słuchania słowa Bożego, to z pewnością nie będzie się uparcie sprzeciwiał prawdzie; i owszem podda się jej bezwarunkowo, poniesie klęskę błogosławioną, która więcej będzie warta, jak wszystkie dawniejsze zwycięstwa.

— Widzi ksiądz dobrodziej — rzekł baron do ks. Antoin'a przy drugiej rozmowie, — to opatrzność Boska, że odemnie wyłudzono tę obietnicę.. inaczej byłbym był gotów w mej bezbożności umrzeć. Dlaczego? Sam tego nie wiem, być może tylko dlatego, żem uparty.

Któż opisze radość i wdzięczność siostry Eudoksyi. Inaczej nie mogła się mleczarce odwdzięczyć, jak tylko napisaniem do niej listu, ale list ten tak był piękny, że mleczarka była nim zachwycona.

A baron odżył na nowo. On, co uczynki miłosierdzia tak bardzo miłował, zdawał się, że teraz odkrył ich ducha, ich podstawę, ich niebieskie źródło, i ów balsam, który z czułego chrześcijańskiego serca na rany ciała i duszy spływa, i wracając do swego źródła, napawa serce niebiańską słodyczą.

— Księdzu to zawdzięczam wszystko! — rzekł do kapłana, — jakże ci się wywdzięczę?

— Ach, panie baronie, czyż pociecha płynąca z przekonania, że się duszę do Boga nawróciło, nie jest nadobfitą nagrodą? — odrzekł kapłan, — zwłaszcza, gdy idzie o tak zacną duszę?

Jednego poranku, przybiegła mleczarka do barona zakłopotana. Trzymała w ręku list.

— Oto tu, panie baronie, masz pan sposobność odwdzięczyć mi się, — rzekła poczciwa kobieta płacząc — módl się pan, o módl się pan za mego biednego syna; on jest przy wojsku w Algierze i pisze mi tu takie rzeczy, że mi się aż serce kraje. Boję się bardzo, czy on wiary nie stracił.

Baron obiecał pilnie modlić się za niego. Tymczasem siostrę Eudoksyę przeniesiono z Castres do Tuluzy i to do wojskowego szpitala. Szpital był przepełniony. Ośm dni temu, znaczna liczba chorych żołnierzy z Algieru przybyła.

Siotra Eudoksya, troszczyła się jak mogła, aby im na niczem nie zbywało. Spostrzegła między innymi młodego jeszcze żołnierza, którego febra prawie wyniszczyła, który jednak zawsze miał pochmurne oblicze, a usta szyderczo wykrzywione.

Z taktem, znamionującym siostrę miłosierdzia, która tak często i tak zręcznie matkę zastąpić umie, spostrzegła Eudoksya, że on musi mieć ranę na duszy, że ta rana sta[...]mie ukrywana, staje się coraz niebezpieczniejszą, a [...]wierzenie się poufne może ją uleczyć.

Podwoiła więc troskliwość swą względem niego, a on ani pytany, otworzył jej pewnego dnia z całą szczerością swe serce. Opowiedział jej, że był bardzo po chrześcijańsku wychowany, że matka jego nietylko jest pobożną, ale świętą osobą.

Gdy się więc Eudoksya dowiedziała, jak się nazywa, i że wiarę utracił, podwoiła jeszcze swe usiłowania, by tę straconą duszę do Boga nawrócić. Miała wspaniałą okazyę, odwdzięczyć się mleczarce za nawrócenie jej ojca, przez nawrócenie jej syna.

Jednego dnia tak mówiła do chorego:

— Ja znam matkę pana, dobrą, gorliwą, pobożną i miłosierną panią M. Ona podwójnie ocaliła mego ojca, bo najprzód na ciele, a następnie na duszy. Chciałabym jej się za to jak najlepiej odwdzięczyć. Pan sam możesz mi w tem dopomódz. Uczyń pan to, co mój ojciec uczynił. Ja nie żądam wcale, byś się pan ślepo oddał, tylko, abyś pan pozwolił, by kapłan do pana przyszedł i z panem się rozmówił o rzeczach wiary.

Jakób, bo tak się zwał ów żołnierz, który dotąd okazał się nieczułym na wszelkie wywody, dał się nakłonić i przyzwolił.

Gdy już kapłan dostał się do jego łoża, Jakób usłyszał z ust jego naukę, o której szczerości i prawdzie nie mógł wątpić, ustąpiły przed łaską Bożą i chrześcijańską miłością wszelkie zawady.

Jakób był bowiem człowiek prosty, któremu tylko czytanie złych książek w głowie przewróciło.

Teraz po nawróceniu się, spokój duszy błogo podziałał i na jego ciało. Febra ustąpiła i wkrótce dla zupełnego wyzdrowienia, otrzymał na dłuższy czas urlop, który u swej matki przepędził.

— Widzisz pan, — rzekł razu jednego Jakób do barona, — kobiety przecież więcej warte, jak my. Kto pana nawrócił, pana, coś jest dobroczyńcą całej okolicy? Mleczarka! A któż nawrócił mnie, com nigdy nie drżał przed kulami Arabów, a jednak nie mogłem się zdobyć na odwagę, porzucić takie głupie niewierne myśli? Siostra miłosierdzia!

Oto przykład, jak mamy miłować bliźniego, starając się o dobro jego ciała, ale bardziej o dobro duszy.

Bohaterskie dziewczę.

Wracam z przepięknej i rzewnej uroczystości, jaka się rzadko zdarza. Oto w parafii Zabawa pod Radłowem obchodzono uroczyście pamiątkę męczeństwa, jakie z rąk moskiewskich poniosła bohatersko za swą czystość panieńską wiejska dziewczyna, Karolina Kózkówna.

Liczyła rok 16 życia i uczęszczała jeszcze na naukę szkolną dopełniającą, kiedy Moskale po zaciętych walkach zajęli okolice Radłowa i jej wioskę rodzinną. Skromna i wzorowo pobożna, była już t. zw. „zelatorką“ w bractwie różańcowem. Widocznie dojrzała dla nieba ta prosta i czysta dusza, kiedy stanęła do walki o swą

cnotę z uzbrojonem żołdactwem i broniąc się nieustraszenie, dała się raczej w straszny sposób porąbać, aniżeli zhańbić. Było to 18 listopada 1914 roku.

Jest to najprawdziwsze „męczeństwo“ bo według nauki i praktyki katolickiego Kościoła tak samo są męczennikami ci, co śmierć ponoszą dla obrony cnoty, jak i ci, co życie oddają za Chrystusa Pana lub za Jego wiarę świętą. Jest też w martyrologium rzymskiem cały zastęp takich panien i niewiast, które Kościół między świętych męczenników li tylko dlatego policzył, że śmierć poniosły w obronie czystości, podobnie jak obecnie ś. p. Karolina.

Zrazu, że to były czasy okupacyi rosyjskiej, pochowano ją cicho i bez rozgłosu na tem samem miejscu, gdzie była zamordowaną, zwłaszcza, że to było na najbardziej odległym od kościoła punkcie parafii, mianowicie w lesie przysiółka Wał Ruda. Dopiero, gdy Moskali wypędzono, gorliwy duszpasterz miejscowy, X. Wład. Mendrala, z pozwoleniem starostwa, przeniósł ze czcią zwłoki męczennicy na cmentarz parafialny, opodal kościoła, naznaczywszy tymczasem skromnym krzyżem miejsce męczeństwa.

Tymczasem ułożono plan godnego uczczenia dziewiczej męczennicy uroczystością, w którejby cała okoliczna ludność mogła wziąć udział, a X. Biskup Wałęga cały ten plan zatwierdził. Przed kościołem parafialnym śród gustownie urządzonych gazonów, wystawiono okazały posąg Najśw. Panny Niepokalanej z pinczowskiego kamienia, a na czterech stronach podstawy umieszczono marmurową tablicę z odpowiedniemi napisami. Na miejscu zaś męczeństwa stanął olbrzymi i artystycznie wykończony, a do koła sztachetami otoczony krzyż dębowy z ukrzyżowanym Zbawicielem, najgodniejszy symbol męczeństwa, zatknięty w potężną z głazów kamiennych stworzoną opokę. W nią zaś poniżej krzyża wmurowano marmurową tablicę z historyą i datą męczeństwa, jak niemniej z rzewnym wierszem X. Pawła Wieczorka.

Główny odpust parafii, dzień św. Trójcy, najlepszą był sposobnością do urządzenia tej niezwykłej uroczystości. Udała się wybornie, a samo niebo sprzyjało jej przecudną pogodą. Ogromne tłumy ludu z licznym zastępem Duchowieństwa, w procesyi z chorągwiami i obrazami wzięły radosny udział. To też kazania okolicznościowe tak przed sumą, jak i po nieszporach były pod gołem niebem, co koniecznem było ze względu na wielotysięczne tłumy, którychby kościół nigdy pomieścić nie zdołał. Po nieszporach i kazaniu nastąpiło uroczyste poświęcenie posągu Najśw. Panny przed kościołem przez X. Dziekana Kmietowicza w otoczeniu Duchowieństwa przyczem chór młodzieży odśpiewał pieśń, ułożoną przez limanowskiego nauczyciela, p. Biedronia, p. t. „Cieniom dziewicy“:

Zwiędłaś, jak kwiecie kosą ścięte,
  Lata wiośniane zmroził szron...
Dla nas twe imię drogie, święte,
  Wszak cię męczeński uśpił skon.

Przemoc brutalna wroga-kata
  W grobowy cię zepchnęła chłód,
Żeś w skarby cnoty twej bogata
Nie chciała znać, co grzechu brud.

Małoż męczarni, ofiar mało,
  Że na cię, dziewczę, opadł kir
I w krwi purpurę owił ciało
  I przykrył je w cmentarny żwir?

O dziewic polskich jasny wzorze,
  Niewinny kwiatku, naszych łąk —
Skoro na Boskim świecisz Dworze,
  Wybłagaj dla nas koniec mąk!...

Następnie rozwinęła się olbrzymia procesya z chorągwiami i obrazami do lasu, na miejsce męczeństwa, całą drogę śpiewając pieśni pobożne i różaniec. Tu z mownicy przystrojonej, a urządzonej obok pamiątkowego krzyża, przemówił porywająco X. Dr Czuj: „O wartości cierpień dla Boga i dla nieba“, czemu rzewny płacz ludu towarzyszył. Poczem chór młodzieży odśpiewał drugą pieśń o młodocianej męczennicy, a X. dziekan Kmietowicz, otoczony zastępem Duchowieństwa, poświęcił pomnik i odmówił z ludem litanię do Najśw. Imienia Jezusowego.

Cichy, wiosenny wieczór napełniał wonią i niewypowiedzianym czarem las i wioskę całą, kiedy te mnogie, barwne rzesze wracały rozmodlone do swoich domów, unosząc w duszach niebiański urok bohaterstwa wiejskiego dziewczęcia.

Prześliczny ten przykład umiłowania nad życie czystości, będzie na długie lata żywo a silnie przemawiał do serc wszystkich. A w śród tego zepsucia, co tyle czystych serc łamie i wśród tej strasznej zawieruchy wojennej, trzeba bardzo takiego wymownego przykładu.

X. Wład. Czencz, T. J.

Żal było Bogu że uczynił człowieka na ziemi!...

Pismo św. i Kościół katolicki uczą nas, że Bóg jest pełen dobroci i miłości względem i wszystko co istnieje stworzył Bóg dla dobra stworzeń i dla ich szczęścia.

Bóg dał wszystkim stworzeniom swoje właściwe przeznaczenie. Ponad wszystko zaś wyniósł człowieka i uczynił go królem wszystkiego na ziemi.

Człowiek miał za to Boga kochać, służyć Mu i zbawić się na wieki.

Niestety, człowiek odpłacił się Bogu czarną niewdzięcznością. Nie chciał Bogu służyć, nie chciał pełnić Jego świętej woli.

Dlatego widzimy to dziwne zjawisko, w niedługim czasie po pierwszych rodzicach, bo około roku 2.400 przed narodz. Chrystusa, ludzie stali się bardzo złymi, grzesznymi i nieposłusznymi Panu Bogu. O tych ludziach mówi Pismo św.: „A widział Bóg, że wiele było złości ludzkiej na ziemi, a wszystka myśl serca była napięta ku złemu po wszystek czas“ (Gen. 6. 5).

Bóg smucił się tą niewdzięcznością ludzką! I rzadne inne miejsce Pisma św. nie wypowiada tak dosadnie i potężnie smutku i gniewu Bożego na widok złości i grzechów ludzkich, jak to miejsce w księdze Rodzaju: „Żal było Bogu, że uczynił człowieka na ziemi“. (rozd. 6. 6.).

Bóg jest samą świętością, dlatego brzydzi się nieskończenie grzechem. A jako sprawiedliwy zsyła kary na grzesznych, niepoprawnych ludzi.

„I ruszony serdeczną boleścią wewnątrz rzekł: Wygładzę człowieka, któregom stworzył z oblicza ziemi. I rzeczywiście zesłał Bóg straszny potop, w którym wszyscy zginęli z wyjątkiem Noego i jego rodziny.

Potop trwał bardzo długo, bo Noe przebywał w arce przeszło 350 dni, poczem wypuścił dopiero z arki gołębicę. Ta straszna kara Boża trwała więc

długo, aż cały ówczesny zepsuty rodzaj ludzki wyginął.

Straszna historya potopu przypomina się nam żywo w czasach dzisiejszych. Nie ulega wątpliwości, że obecna wojna jest straszną karą Bożą, a jak wówczas świat zalały wody potopu, tak teraz zalewa świat morze krwi ludzkiej.

I ta wojna straszna ciągnie się bardzo długo. Nikt tego nie przypuszczał. Widocznie bardzo zepsuty jest obecny rodzaj ludzki, że tak długą karą Bóg go dotyka.

I jakkolwiek Bóg tego jawnie nikomu nie objawił, to zdaje się, przecież jakoby Bóg podobnie i teraz się skarżył boleśnie, że mu żal, że stworzył człowieka.

Bo istotnie złość i nieprawość ludzka przybrała niebywałe rozmiary. Wszakże obecne pokolenie szydziło wprost z Boga i z jego świętych pogróżek, albo zaprzeczało istnienia Bożego. Bluźniono zuchwale przeciw Bogu i zwalczano zaciekle Kościół św. Nikt się nie pytał, co się Bogu podoba a co niepodoba, lecz robił co sam chciał. Zepsucie i rozpusta przeszła wszelkie granice.

Myślałbyś, że wojna przyprowadzi ludzi do upamiętania. Nie zaprzeczamy, że zrobiła w pierwszej chwili wrażenie. Ale im dłużej trwa wojna, tem bardziej pokazuje się straszne zepsucie rodzaju ludzkiego. Fałsz, obłuda, kłamstwo i wzajemne oczernianie się zdaje się nie mieć końca. Nawet wśród świeżych grobów i krwi ludzkiej grasuje okropna rozpusta i w miastach i po wsiach! I o młodzieży i o żonach donoszą zastraszające rzeczy. Człowiek człowiekowi staje się wilkiem; jeden drugiego chce oskarżyć, wydać i oczernić. Jakkolwiek majątek teraz jest niepewny, to przecież panuje niepomierna chęć zysków; stąd jedni drugich oszukują, wyzyskują, ściągają niebywale wysoką lichwę żywnościową. Dlatego panuje straszna drożyzna! Chce temu rząd zaradzić przez przepisy, ale nie może dać rady, bo niema uczciwości i sumienia. Dowodem zepsucia ludzi jest także to, że zamiast modlić się i błagać o miłosierdzie, to buntują się przeciw Bogu i porzucają modlitwę.

Obraz to jest straszny! Nic dziwnego, że wobec tak strasznego zepsucia ludzkiego wojna ciągnie się i ciągnie i trudno doczekać się jej końca. Ponad grzesznym rodzajem ludzkim zdaje się unosić bolesna skarga Boża, „że Mu żal, że stworzył człowieka na ziemi!...“

Dlatego godzi się zapytać, czy jest jeszcze ratunek dla zepsutego rodzaju ludzkiego, czy też może grozi mu zupełna zagłada w tym strasznym, już dwa lata niespełna trwającym potopie krwi ludzkiej?!... Czy Bóg juz może wzgardził obecnymi zepsutymi ludźmi, a czy może nowe pokolenia powoła do służby Swojej?!...

O, nieszczęsna, zaślepiona grzeszna ludzkości nawróć się do Boga, ażebyś sobie wyjednała pokój i zbawienie! Już dosyć poznałaś, że Bóg jest sprawiedliwy! Chciej zrozumieć i poznać, że On jest także miłosierny.

Dusza ocalona.

We wielkiem ludnem mieście N. wybuchła zaraźliwa choroba, która w krótkim czasie mnóstwo ludzi porwała. Wierni uznali w tem zasłużoną karę Bożą; uczeni i lekarze starali się zbadać i wytłumaczyć istotę tej choroby, ale w końcu przyznać musieli, że nie mogą znanemi środkami tej choroby wyleczyć. Rozumie się, że w takich okolicznościach nawet wielu z tak zwanych „postępowych“ chrześcijan do Boga się garnęło; nie mało i takich się znalazło, którzy przedtem i z Boga sobie i z religii szydzili, a teraz choć z narażeniem się na pośmiewisko dawnych przyjaciół, prosili o kapłana, aby się na drogę do wieczności jakotako przygotować.

I tak pewnego dnia, zawezwano starszego wikaryusza jednej parafii do tak zwanego „możnego świata tego“, o którym wszystko inne można było powiedzieć, tylko nie to, że jest dobrym chrześcijaninem, a który niedobrej sławy używał. Niegrzeczna śmierć, nie opowiedziawszy się nawet, i do niego się przecisnęła. Już było późno, a wikaryusz jeszcze nie powrócił.

— Zaczynam się niepokoić — rzekł młodszy wikaryusz do proboszcza — boję się, czy się co złego nie stało.

— Nie sądzę — odparł sędziwy proboszcz — bo by już był wrócił; zdaje mi się przeciwnie, że się dobrze sprawił, albo że walka musiała być zacięta.

Gdy proboszcz tych słów domawiał, przyszedł starszy wikaryusz zmęczony i znużony do pokoju.

— Bogu dzięki! Już po robocie!

— Jakże się udało?

— Jak się udało? — odrzekł wikaryusz — przyszedłem do wielkiego, wspaniałego pokoju, tu zastałem służącego i prosiłem go, aby mnie natychmiast u pana zameldował. Służący spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem i oddalił się. Czekałem długo, bardzo długo, nareszcie zacząłem odmawiać brewiarz, skończyłem, a tu jeszcze nikogo niema; wreszcie ukazała się żona chorego i zapytała, czym i Oleje święte przyniósł. Ja odrzekłem:

— Ależ chory się jeszcze nie spowiadał!

— Ach, tak? — odrzekła; kazała służącemu do stołu nakryć i znikła.

Za kilka chwil przyszedł lekarz z pokoju chorego, przystąpił do mnie i zawiódłszy mnie w kąt pokoju, rzekł mi z poufałością głosem przytłumionym:

— Wie ksiądz dobrodziej co? Proszę z nim (z chorym) zrobić wszystko tylko tak pro forma (pozornie).

Zmierzyłem tego pana od stóp do głów i odpowiedziałem mu:

— Czy pan także czasem leczy tylko tak pro forma?

On się uśmiechnął i rzekł przygryzając wargi:

— No, no, niech się ksiądz zaraz tak nie gniewa; trzeba pewne ceremonie już dla samych języków ludzkich zachować; to słuszne i sprawiedliwe.

Spojrzałem mu surowo w oczy i zapytałem:

— Powiedz mi panie doktorze jako człowiek honorowy, jak długo może ten chory jeszcze żyć?

— Najwyżej do jutra wieczór — była odpowiedź.

— W takim razie nie można czasu tracić; postaraj się pan, by mnie zaraz przypuszczono.

— To nie będzie tak łatwo.

— Dlaczego?

— Bo to zrobi na nim wrażenie.

— Czyż ja mu co złego zrobię?

— To nie, ale ksiądz wiesz, że taka rzecz przyspiesza śmierć.

— Może śmierć doczesną, i to nie zawsze, nieraz pomaga i do zdrowia ciała, w każdym jednak razie, zachowuje od śmierci wiecznej.

— Uff! — odrzekł, uśmiechnął się i ruszył ramionami.

Wreszcie zapytał jeszcze:

— Wszak ksiądz przyniosłeś Oleje święte?

— Czemu się pan o to pytasz?

On znowu się uśmiechnął.

— Czy mam może trupa Olejem mazać?

— Za pozwoleniem — rzekł — obowiązek mnie wzywa i poszedł. Ja znowu sam zostałem. Za chwilkę przyszedł służący niosąc flaszkę wina i chciał stół nakryć.

— Cóż to? — rzekłem ostro — myślicie, że ja przyszedłem tutaj jeść i pić? Precz to ztąd!

Zebrałem całą moją cierpliwość i chodziłem wielkiemi krokami po sali. Wreszcie przyszedł kamerdyner, poczciwy i dobry człowiek. Prosiłem go usilnie, aby mi się postarał o to, by mnie przypuszczono do pana.

— Powiedziano mi, abym się nie ważył księdza dobrodzieja wpuścić, ale będę się starał nakłonić panią, by księdza dobrodzieja wpuściła.

Dotrzymał słowa, pani zaraz przyszła i całym potokiem słów starała się pouczyć mnie, jak mam się z chorym obchodzić, jak mu nic nie mam mówić, coby go mogło rozdrażnić i t. p.

— Łaskawa pani! — odrzekłem — proszę to wszystko zostawić mnie; o jedno tylko panią proszę usilnie, aby mnie dłużej nie zatrzymywać i do chorego zaprowadzić.

Na te moje słowa pobladła i rzekła:

— Zobaczę, czy się to da zrobić.

I znowu mnie samego zostawiła.

Już północ się zbliżała i w całem znaczeniu uczułem prawdę tych słów Pańskich: „Biada wam bogacze!“. Ludzie kręcili się i chodzili to tu, to tam, a mnie nagle przyszła myśl: A cóż mi się stać może, jeźli nieproszony wejdę do chorego? Najwyżej pokażą mi drzwi, a może i tego nie zrobią, a ja duszę od piekła ocalę! Namyśliłem się chwileczkę, wezwałem gorącem westchnieniem Boga na pomoc, użyłem nadarzającej się sposobności, przeszedłem cały szereg salonów i przyszedłem wreszcie do pokoju, w którym chory leżał. Stanąłem — zjawienie się moje podziałało na nich tak, jak zjawienie upiora o północy. Chory pobladł, inni patrzeli na mnie w milczeniu i zdawało mi się, jakby się cieszyli z tego, żem się odważył wejść; jedni za drugimi się powynosili cichaczem i zostawili mnie sam na sam z chorym.

Chory zapytał mnie bezdźwięcznym, drżącym głosem:

— Czego sobie ksiądz życzy?

— Jestem księdzem, wikaryuszem przy tutejszej parafii i nigdy bym sobie nie mógł darować, gdybym pana w tak ciężkiej chorobie nie był odwiedził; bo wiem, że pan bardzo wiele cierpisz, a jabym panu chciał tak chętnie pomódz.

— Ksiądz, mnie pomódz? — zapytał mnie, powątpiewając i poprosił mnie siadać.

— Chociaż ja osobiście pomódz panu nie mogę, to znam takiego, co panu z pewnością może pomódz, i już wielu dopomógł, którzy mu ufali.

— I któż jest ten jeden?

— Wasza Ekscelencya zna Go z pewnością; przynajmniej już pan nieraz o Nim słyszałeś, gdyż samo dotknięcie szaty Jego, uleczyło chorą niewiastę, która daremnie cały swój majątek na lekarzy roztrwoniła; On uleczył nawet ślepego od urodzenia i wskrzesił zmarłego, który już cztery dni leżał w grobie.

— O, ksiądz mówisz o tym...?

— A cóż, czy On nie jest potężnym pomocnikiem i jedynym, który człowieka nie porzuca, gdy go już wszyscy opuszczą?

— Dajmy temu pokój, księże dobrodzieju.

— Wszak nic na tem nie stracimy, gdy Jego pomocy wezwiemy, a zyskamy nieskończenie wiele; gdyż On jest niemniej miłosiernym jak wszechmocnym Bogiem.

— Bogiem! — rzekł chory; — kto wie, czy jest jaki Bóg?

Czas naglił, nie mogłem się zapuszczać w filozoficzne wywody i dlatego rzekłem krótko:

— A cóż, jeźli Bóg jest i pan wkrótce doświadczysz na sobie, że jest Bóg! Jedna rzecz jest pewna i o niej pan wiesz tak dobrze, jak ja, że tylko źli i przewrotni ludzie zaprzeczali istnieniu Boga; do tych wyrzutków przecież pan nie chcesz należeć.

— Nie — rzekł drżącym głosem.

— A zatem, udajmy się do tego Boga miłosiernego, który nas stworzył, który wszytkie dni nasze policzył, w którego ręku śmierć i życie; Jemu się oddajmy i spełnijmy Jego wolę, abyśmy, gdy nas powoła, łaski przed tronem Jego doznali.

— Ależ nikt jeszcze nie przyszedł z tamtego świata, któryby nam powiedział, że jest życie pozagrobowe.

— Nie umarli mają zadanie nas pouczać, ale żyjący Kościół Boży, którego Chrystus jest założycielem. Zresztą nieprawdą jest, aby nikt z drugiego świata nie przyszedł, aby nam powiedzieć, jak tam jest; bo Jeden przyszedł i powiedział nam, że dobrzy podobni będą do Aniołów Bożych i wnijdą do wesela Pańskiego i otrzymają zapłatę, a źli pójdą do ognia nieugaszonego i wiecznego. Oto ten, który przez krew swą na krzyżu wylaną, zgładził winę grzechową, udzielił po swem zmartwychwstaniu swoim kapłanom władzy odpuszczania grzechów i rozwiązuje w niebie to, co kapłan na ziemi rozwiąże. Dlatego i pan spowiadaj się z grzechów swoich, abyś rozgrzeszony mógł spokojnie umrzeć i wnijść do wesela dzieci Bożych w niebie!

— Spowiadać się? — rzekł chory drżącym głosem — spowiadać się? Nie, ja się nie mogę spowiadać.

— A dlaczego nie? — Nie powinniśmy się przecież wystawiać na niebezpieczeństwo odrzucenia od Boga, aby na wieki z wyrzutkami ludzkości palić się w ognistem więzieniu Boskiej sprawiedliwości.

— Straszne rzeczy ksiądz mówisz!

— Strasznemi są one tylko dla tych, którzy się nie chcą z Bogiem pojednać, ale pełnemi pociechy dla tych, którzy tego najdobrotliwszego Ojca z ufnością wzywają. Wszak On zawsze gotów nas do łaski swej przyjąć, chociażbyśmy niewiem jak dużo grzechów popełnili. Bo On wyraźnie mówi: „W którymkolwiek dniu grzesznik do mnie powróci, wszystkich jego grzechów zapomnę“. Niech pan zważy, jak wielką panu to sprawiło radość, gdyś pan mógł komu jakie dobrodziejstwo wyświadczyć, i jak przykro panu było, kogo ukarać. A przecież wieczne miłosierdzie daleko dobrotliwsze jest, jak najlepszy i najzacniejszy człowiek. A czyż ten nie zasługuje być odrzuconym, któryby się wzbraniał za cenę spowiedzi uwolnić się od kary wiecznej?

Tu mowę moją zmieniłem w modlitwę pełną skruchy i żalu, i rzekłem ze szczerem współczuciem:

— Prawda, pan chcesz się z Bogiem pojednać i przyjąć ŚŚ. Sakramenta?

— Więc dobrze — rzekł chory — jeźli ksiądz uważa to za rzecz dobrą, w imię Boże!

Wyspowiadałem go z całego życia, udzieliłem mu ŚŚ. Sakramentów, poczem z wielkim spokojem pożegnał się z rodziną i wkrótce skonał.

— A cóż pani na to? — zapytał proboszcz.

— Ona — odrzekł kapłan — miała głowę pełną innych rzeczy, ale lekarz spojrzał na mnie, potrząsając głową i rzekł:

— Ksiądz dobrodziej dokonał tu arcydzieła, jakiegobym się był po księdzu nie spodziewał.

Spojrzałem mu w oczy i rzekłem:

— Co tu się stało, nie jest wcale mojem dziełem, lecz dziełem łaski miłosiernego Boga, w którego pan nie wierzysz. Ale pana, panie doktorze, czeka kiedyś ciężki rachunek; bo pan ciężko grzeszysz przeciw chorym, z pańskich rąk Bóg się kiedyś domagać będzie dusz, które z pańskiej winy na wieki będą potępione; ogień wieczny goreje, choć pan weń nie wierzysz.

— A on się znowu uśmiechnął i wstrząsnął ramionami? — zapytał proboszcz.

— Ku memu zdziwieniu słyszałem rzecz przeciwną — odrzekł wikaryusz. — Gdym odchodził mówił mi kamerdyner, że doktor się zamyślił i rzekł: „Ten ksiądz to straszny człowiek, powiedział mi takie rzeczy, których jeszcze nikt nie ważył się w oczy mi powiedzieć; źleby ze mną było, gdyby on miał słuszność“.

(Erb. Stund. 1888, 7).

Wzniosłe przykłady miłości bliźniego.

Boski Mistrz nasz, Pan Jezus, przykazał nam miłować bliźnich naszych. Toć przecież Sam wyraźnie powiedział: Kochaj Boga nadewszystko, to jest pierwsze i największe przykazanie, a wtóre podobne temu — kochaj bliźniego, jak siebie samego. Na tem dwojgu przykazań — dodał Chrystus Pan — wszystek Zakon zawisł i prorocy.

Kiedy Żydzi jęczeli w niewoli króla assyryjskiego, był wtedy między nimi mąż pobożny imieniem Tobiasz. Mąż ten oddał się cały miłości swych współbraci. A cóż im świadczył takiego? Oto zachęcał braci swych w niewoli do bojaźni Boga, pocieszał ich w utrapieniu, karmił ubogich, nagich przyodziewał, a nawet w nocy nie pozwalał sobie spoczynku. I gdy inni spali, Tobiasz wychodził ze swego mieszkania, brał na barki swoje ciała zabitych przez nieprzyjaciół i znosił je na jedno miejsce. Kopał groby i grzebał pomordowanych. Tak czynił, a te miłosierne uczynki jego nagradzał mu Bóg sowicie. Na rozkaz Boży stanął przed nim Rafał archanioł i rzekł: „Modlitwa z postem i z jałmużną lepsza jest, niż skarby złota gromadzić. A kiedyś się modlił, Tobiaszu, ze łzami i grzebał umarłych, to ja modlitwę twoją zanosiłem do Boga.

I jeszcze jeden przykład.

Podczas wielkiego trzęsienia ziemi w Syryi, kiedy domy w gruzy się rozpadały, tysiące ludu spieszyło na puszczę do pustelnika świętego, którego imię Szymon Słupnik. Prosili go i błagali wszyscy, aby się modlił za nimi do Boga, iżby klęskę tę Bóg od nich odwrócić raczył. I Szymon Słupnik zaczął się modlić, a ziemia trzęsła się cała, a nawet słup, na którym stał, chwiał się niezmiernie. I kiedy niebezpieczeństwo coraz się wzmagało, wołał do obecnych święty pustelnik: „Módlcie się ze mną, wołajcie Kyrie elejson — Panie zmiłuj się“. I z tysiąca piersi wzniósł się głos ku niebu: Kyrie elejson. A gdy się uciszyło, rzekł Szymon: „Bracia, jedna dusza z pośród nas została wysłuchana, trzęsienie ziemi ustanie. Aby was o tem przekonać, podaję wam tego człowieka, którego Bóg wysłuchał“. I wywołał z tłumu biednego wieśniaka i rzekł do niego: „Ciebie to, miły bracie, wysłuchał Bóg litościwie. Ale powiedz mi, skąd tobie taka łaska u Boga?“ A wieśniak powiada: „Daruj, mój ojcze, to nie ja, bom ci ja człowiek grzeszny“. „Powiedz tylko, jakie twoje życie?“ odezwie się Szymon. A wieśniak powiada: „Jestem robotnikiem, a sposób życia mego jest taki: Pracuję od rana do nocy, a co zapracuję, dzielę na trzy części. Jednę część daję ubogim, drugą na podatki, a trzecią zostawiam sobie na własne potrzeby. Tak postępowałem zawsze“. Wtedy wszyscy poczęli się cisnąć do owego wieśniaka, który za swoją jałmużnę znalazł tyle łaski u Boga. I w tejże chwili ustało trzęsienie ziemi.

Wreszcie podajemy przykład z pięknej przeszłości narodu naszego.

Św. Jadwiga, księżna polska, a żona Henryka, odznaczała się cnotą wielkiej miłości bliźniego. Dla siebie skąpa, dla biednych była bardzo szczodrobliwa. Sama wyszukiwała kaleki i ubogich i zapraszała ich do swego stołu i umywała ich nogi, a rany ich leczyła z wielkiem poświęceniem. Z kubka pierwej nie napiła się wody, dopóki ubogi nie napił się z niego. Nawet te miejsca, na których siedzieli ubodzy, ze czcią całowała mówiąc, że w ubogich widzi Jezusa Chrystusa. I miała zwyczaj skupować chleb od żebraków i pożywała go z uszanowaniem jako osobliwy dar nieba. Każdego dnia zasiadało przy jej stole trzynastu biedaków, a sama im usługiwała i obnosiła smaczne potrawy, a sobie zostawiała suchy chleba kawałek. — Tak kochała bliźnich św. Jadwiga i tak ich wspierała.

Oto przykłady wzniosłe.

Niechaj nas one zachęcą do naśladowania zwłaszcza za dni naszych, w których tyle potrzeb i tyle mnożącej się biedy.

O nowy kościół na Dębnikach.

O mieście Jerozolimie mówi Kościół święty: „Powstań, oświeć się, Jeruzalem, albowiem przyszła światłość twoja i jasność Państwa zeszła nad tobą. Oto ciemności pokrywają ziemię, a mrok narody, a nad tobą zeszedł Pan i jasność jego w tobie widziana jest“. (Iz. 60. 1—4). I rzeczywiście było to wielkie szczęście dla Jerozolimy, że w niej stanął Odkupiciel świata!

Podobny okrzyk radości możemy podnieść, gdy myślimy o Dębnikach. — Cieszcie się i radujcie się Dębniki, bo wkrótce doczekacie się nowego kościoła. Nowy kościół będzie największą chlubą dla Dębnik. Z nowo przyłączonych dzielnic i gmin Wielkiego Krakowa, Dębniki będą pierwsze, które będą posiadać własny nowy kościół. Są szczęśliwsze od innych dzielnic miasta Krakowa, w których przydałyby się równie nowe kościoły, a przecież na razie mówi się najwięcej o nowym kościele w Dębnikach.

Ta nowa, niedawno do Krakowa przyłączona dzielnica, leżąca na prawym brzegu Wisły, pomiędzy Zwierzyńcem a Podgórzem, pozbawiona była zupełnie kościoła. Do kościołów krakowskich przez most zwierzyniecki jest dosyć daleko, a dotychczasowy kościół parafialny w Podgórzu jest również daleko położony. Dlatego już oddawna kiełkowała myśl, ażeby na Dębnikach wystawić nowy kościół: Dębniki należały dotychczas do parafii podgórskiej, która liczy przeszło 30 tysięcy dusz, a obejmuje prawie wyłącznie ludność miejską i podmiejską, potrzebującą szczególnej pieczy

duszpasterskiej. Po przyłączeniu gmin podmiejskich do Krakowa sprawa budowy nowego kościoła na Dębnikach stała się jeszcze bardziej aktualniejszą. Poruszono ją też na Radzie miejskiej krakowskiej, która przed wojną uchwaliła 100 tysięcy koron na ten cel i gmina miasta Krakowa zobowiązała się budowę kościoła w Dębnikach usilnie popierać. Od powzięcia tej uchwały przez Radę miejską upłynęło tymczasem kilka lat, spraw budowy nie została jednak ani na krok posuniętą, natomiast potrzeba kościoła w tej dzielnicy stała się wprost piekącą. Chcąc przyspieszyć zrealizowanie gorących pragnień katolickich mieszkańców Dębnik i sąsiednich dzielnic i już obecnie zabezpieczyć im opiekę duszpasterską na miejscu, Książe-biskup Sapieha przeznaczył obecnie X. Karola Słowiaczka do Dębnik w charakterze ekspozyta. X. Słowiaczek wraz z utworzonym komitetem parafialnym ma prowadzić całą dalszą akcyę budowy nowego kościoła.

Usiłowania podjęte przez Księcia-biskupa Sapiehę, mające na celu przyspieszyć budowę kościoła na Dębnikach, witają wszyscy nietylko z wielką radością ale zarazem z największą wdzięcznością. Każdy bowiem, kto ma czucie katolickie, wie dobrze, jak bardzo nagląca jest potrzeba nowych kościołów na przedmieściach Krakowa.

W Krakowie są bowiem wprawdzie liczne i piękne kościoły, ale prawie wszystkie położone są w śródmieściu. Przedmieścia zaś i nowo przyłączone dzielnice są prawie zupełnie pozbawione kościołów. Dzielnice te rozwijają się szybko, budują własne nowe, piękne szkoły, nowe gmachy i kamienice, ludność w nich ogromnie wzrasta, ruch się ożywia, a przecież brakuje im kościołów. Oj, jak bardzo przydałyby się nowe wielkie kościoły na Prądniku Czerwonym, na Krowodrzy, na Grzegórzkach i t. d. Z żalem obserwujemy ten smutny fakt, że na przedmieściach całe tysiączne rzesze wiernych nie mają żadnego kościoła. Nic dziwnego, że ludność na przedmieściach leży w bezgranicznem zaopuszczeniu duchowem, że krzewią się tam w zastraszający sposób błędy, zaślepienie, niedowiarstwo, pijaństwo, straszna rozpusta i zbrodnie, że socyalizm i bezbożność porywa tam z każdym rokiem tysiące dusz. Przedmieścia te należą do wielkich parafii krakowskich, liczących przeszło po 30 tysięcy dusz, nadto kościoły parafialne są dosyć daleko położone, tak, że księża parafialni nie mogą tak działać na przedmieściach, jak tego potrzeba wymaga. Prawdziwie do przedmieść krakowskich dadzą się w całej pełni zastosować gorące słowa z odezwy Księcia-biskupa Sapiehy: „Żal nam tego ludu“.

Że na przedmieściach trzeba budować nowe kościoły rozumieją to dobrze gorliwi biskupi polscy. Ks. Arcybiskup Bilczewski wzniósł przepiękny kościół św. Elżbiety we Lwowie i stara się o nowe kościoły i w innych dzielnicach stolicy Galicyi. Ks. biskup Pelczar popiera usilnie XX. Salezyanów w budowie nowego kościoła na Zasaniu w Przemyślu, ks. biskup Wałęga oddaje część miasta Tarnowa w opiekę duchowną XX. Misyonarzom, którzy wystawili wspaniały nowy kościół. Śp. kardynał Puzyna wysyła OO. Redemptorystów do Podgórza, którzy tam rozwijają tak zbawienną działalność pośród najuboższej ludności. Tym sposobem dopiero spełniają się słowa, że „ubogim Ewangelia jest przepowiadana“.

Dlatego też starania i zabiegi Księcia-biskupa Sapiehy mające na celu wzniesienie nowego kościoła na Dębnikach stoją w zaszczytnym rzędzie obok starań innych biskupów galicyjskich i muszą być zaliczane do największych kościelnych i obywatelskich czynów, które powstają chwalebnie pod wpływem błogosławiącej ręki energicznego Arcypasterza dyecezyi krakowskiej!

Oby Dębniki doczekały się jak najprędzej swojej własnej wspaniałej świątyni!

Rozrzewniająca podróż do kościoła.

Uboga wdowa, postradawszy władzę w członkach, oddawna mocno się martwiła, że nie mogła znajdować się na nabożeństwie w kościele, czego dawniej przestrzegała jak najściślej i co teraz szczególniej stało się dla jej pobożnej duszy potrzebą. Każdej niedzieli powtarzała smutnie synom:

— O jak byłabym szczęśliwą, gdybym wysłuchać mogła Mszy Świętej! Ale nie mogę chodzić do kościoła dla mojego kalectwa i dalekiej drogi.

To mówiąc, biedna matka zalewała się łzami i wzdychała głęboko; potem ucałowała krzyżyk różańca, który zawsze odmawiała z wielką skruchą, pobożnością i zdaniem się na wolę Boską.

Dwaj synowie zbyt biedni, iżby mogli nająć wózek dla matki, obmyślili inny środek do zadośćuczynienia serdecznemu jej żądaniu. Przytwierdziwszy drągi do krzesła, posadzili matkę na niem i ponieśli do kościoła. Z rozrzewnieniem patrzono na ten przykład synowskiej miłości.

WYDAWCA: KS. KAROL NIKIEL. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KAROL HOLEKSA.

Drukarnia »Głosu Narodu« w Krakowie.